

LIMANOWSKIE CMENTARZE



Fot. Franciszek Nataneł

**Perła pamiątek
przeszłości - cmentarz
z I wojny światowej na Jabłońcu**

**Nie niszczy
pamiątek przeszłości**

**Wincenty Gawron
- limanowski witrażysta**

Droga życiowa Andrzeja Becka

**Dla Limanowej i jej mieszkańców
- 20 lat Związku Limanowian**

**Bałtycka odyseja
- wywiad z Filipem Sułkowskim**

**Młodzieńcze szkice Jana Kurtycza
- dawna Limanowa**

**Maria i Jan Kaliszowie
w służbie oświaty**



Limanowskie cmentarze

Jan Wielek

„Ojczyzna to ziemia i groby.
Narody tracąc pamięć – tracą życie”.



Ta piękna i mądra maksyma wypowiedziana przez Ferdynanda Focha (1851-1929), jednego z najbardziej genialnych dowódców I wojny światowej, marszałka Francji, Wielkiej Brytanii i... Polski, odnosi się co prawda do narodów, czyli państw, ale jest również aktualna dla „małych ojczyzn” – miast, wsi, parafii, regionów. Także dla nas, mieszkańców ziemi limanowskiej, miasta Limanowa czy parafii limanowskiej. Ta prawda, która nie pozwala nam zapomnieć o naszych korzeniach, o tym najpiękniejszym dla każdego z nas zakątku świata jakim są ojczyste strony, zawarta jest w dokumentach, pamiątkach historycznych i rodzinnych. Najbardziej zaś widoczna jest na cmentarzach. Są one śladami więzów, jakie łączą nasze pokolenie z tymi, co tu przed nami żyli, tworząc z narodem w różnych czasach to, co zastaliśmy i co los nakazuje nam przetwarzać dla przyszłych pokoleń.

Listopad, rozpoczynający się Dniem Wszystkich Świętych i Dniem Zadusznym, to szczególny i naturalny czas zgłębienia tej tematyki. Sprzyjać temu mogą odwiedziny cmentarnych nekropolii. A mamy ich na terenie miasta Limanowa – trudno będzie w to niektórym uwierzyć – aż dziewięć, a na terenie parafii limanowskiej – dziesięć.



Parafialny cmentarz w Lososinie Górnej.



Cmentarz z I wojny światowej na Jabłońcu.



Kirkut, cmentarz żydowski w Limanowej.



► Wędrowkę po limanowskich nekropoliach rozpoczniemy od cmentarza dzisiaj już niewidocznego. Przykryty bowiem został potężnym korpusem Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej i otaczającym ją nasypem. Zauważmy, iż pierwotna topografia tego miejsca została mocno zmieniona - teren ten niegdyś opadał od rynku ku Potokowi Starowiejskiemu łagodnie, tak jak to wskazują chociażby poziomy przykościelny parking, placu koronacyjnego, czy przejścia do niego prowadzącego. Na tym opadającym ku rzece placu powstały dwa pierwsze kościoły parafialne, a wokół nich, zgodnie z ówczesnym obyczajem, rozciągały się cmentarze grzebalne. Było tak nie tylko w Limanowej, ale i prawie we wszystkich dawnych, histo-

rycznych parafiach, nawet w dużych miastach – np. w Krakowie.

Widziałem osobiście jego ślady, kiedy w latach 60-tych ubiegłego stulecia dążono pod limanowską bazyliką kanały mające doprowadzić rury centralnego ogrzewania. Robotnicy wykopali wtedy dużo ludzkich kości – głównie piszczeli, które później przenoszone były na współczesny cmentarz parafialny. Grzebani tam byli nie tylko mieszkańcy miasta, ale sąsiednich wsi wchodzących w skład rozległej parafii – Lipowego, Sowlin, Mordarki, Jabłońca, Starej Wsi i Siekierzyny. A jak wygląda taki przykościelny cmentarz, to w niewielkich fragmentach zobaczyć jeszcze dzisiaj można, zwiedzając stare, zabytkowe kościółki wiejskie – np. w Dębnie Podhalańskim.

Do tradycji pochówku w tym miejscu nawiązują dwa współczesne groby wbudowane w północno-zachodnią ścianę Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej – ks. Kazimierza Łazarskiego (1858-1944), który był limanowskim proboszczem przez 54 lata i „trudem swego życia” wznosił tę przepiękną budowlę oraz ks. Biskupa Piotra Bednarczyka (1914-2001), sufragana tarnowskiego – jak się kazał tytułować – „rodaka limanowskiego”.

Na cmentarzu przykościelnym w Limanowej grzebano zmarłych od XVIII stulecia. W stanie zanikającym cmentarz ten istniał jeszcze prawie przez sto lat, do czasów budowy współczesnego kościoła. W 1788 roku zaborcze władze austriackie wydały zarządzenie nakazujące przeniesie-



Obok drugiego, drewnianego kościoła widoczne nagrobki pierwszego cmentarza grzebalnego w Limanowej. Fotografia sprzed 1910 roku.



Drewniany krzyż na miejscu dawnego cmentarza cholerycznego. Dziś stoi tu krzyż metalowy. Fot. z lat sześćdziesiątych XX wieku.



Rodowa nekropolia rodziny Marsów pełniąca rolę kaplicy cmentarnej. Fot. z początku XX wieku.



nie cmentarzy poza obręb zabudowy miasta. Kierowano się przy tym może mniej względami estetycznymi, ale sanitarnymi, co było sprawą bardzo ważną wobec ciągłych nawrotów epidemii chorób zakaźnych, głównie cholery, która ciągłymi nawrotami dziesiątkowała ludzkość. Nowy cmentarz, na gruntach plebańskich, należących właściwie do „szpitala”, – czyli przytułku dla ubogich, urządził w latach 1799-1800 ówczesny proboszcz limanowski – ks. Szczepan Duszyński. Rozpoczął od wzniesienia drewnianej kaplicy p.w. Podwyższenia św. Krzyża, uzyskując przywilej na odprawianie w niej Mszy Świętej. Dzieło to kontynuował jego brat i następca – ks. Jan Duszyński.

Cmentarz ten istnieje i jest czynny do dnia dzisiejszego. Prowadzi do niego ulica Szwedzka, która w pewien sposób związana jest z tą tematyką. Otóż, według limanowskiej tradycji jej nazwa nawiązuje do mogiły żołnierzy szwedzkich, którzy polegli w okolicach Limanowej, w czasie „potopu” szwedzkiego w 1657 r. Wydarzenie to znamy z opisu zawartego w pamiętniku Patryka Gordona - Szkota z pochodzenia, który dowodził oddziałem wojsk szwedzkich rozбитych przez chłopską partyzantkę w bitwie na terenie Mordarki. Ale to temat na oddzielną opowieść.

Pierwotny cmentarz parafialny był o wiele mniejszy od współczesnego i obejmował tylko jego wschodnią część. Przed 1832r. ks. Jan Duszyński wybudował na nim nową kaplicę, również drewnianą, która też nie doczekała naszych czasów. W jej miejsce ziemianin Józef Mars, dziedzic starowiejski, wznosił dużą kaplicę murowaną w stylu neogotyckim, która stała się rodową nekropolią, pełniąc przy okazji rolę kaplicy cmentarnej. Wejście do krypty grobowej znajduje się przed wejściem do kaplicy. Wnętrze zdobi neobarokowy, dREW-

niany ołtarz wykonany w latach 60-tych ubiegłego stulecia przez pochodzącego z Borzęcina, a związanego z Limanową snycerza Władysława Stolarza oraz epitafia członków rodziny Marsów i osób z nimi spokrewnionych, którzy spoczywają w podziemiach.

W czasach I wojny światowej, tuż poza zachodnimi obrzeżami cmentarza urządzono niewielki cmentarzyk wojenny, na którym pochowani zostali żołnierze uczestnicy wielkiej Bitwy pod Limanową w 1914 r. Jego głównym akcentem, poza oznaczonymi krzyżami maltańskimi nagrobkami, jest ozdobna, kamienna ściana-kaplica, we wnęce której umieszczony został olejny obraz Franciszka Mrażka, przedstawiający postać Chrystusa podnoszącego z ziemi poległego, czy też rannego polskiego żołnierza. Na cmentarzyku tym, tuż po II wojnie światowej, pochowano poległych w okolicach Limanowej funkcjonariuszy SB i MO. Honorową część tego cmentarzyka zajmuje grobowiec Wincentego Gawrona – malarza, autora trzech witraży w limanowskiej bazylice, więźnia Oświęcimia, żołnierza AK, po II wojnie światowej przebywającego głównie w USA.

Tuż obok opisywanego cmentarzyka znajduje się zbiorowa, nieoznakowana mogiła, w której w czasie okupacji hitlerowskiej grzebano zwłoki jeńców radzieckich, którzy pracowali w wielkiej bazie paliw w Limanowej - Sowlinach, którą urządzili Niemcy w miejscu istniejącej tam wcześniej rafinerii ropy. Wyróżnia się tam samotny obelisk z krzyżem maltańskim i datą „1915” - to grób pięciu żołnierzy austro-węgierskich przeniesionych z otoczenia kaplicy Matki Boskiej Bolesnej w Mordarce podczas jej odnowienia.

Od południa do cmentarza wojennego 1914 r. przylegają ułożone w długi szereg groby rozstrzelanych przez hitlerowców w Rdziostowie k. Nowego Sącza 30 kwietnia 1944r. mieszkańców Limanowej i okolicznych wsi, a ekshumowanych tuż po wojnie.

Te wszystkie opisywane wyżej „obiekty” z czasem wchłonął ciągle rozrastający się ku zachodowi cmentarz parafialny, który w pewnym momencie osiągnął swoje możliwości. Ciągłe, co prawda „przekopywane” były stare groby, powstawały wielopokoleniowe grobowce, ale wszystko ma swoje granice. Tu odnotujemy kilkakrotne prace mające na celu nadanie mu większej, współczesnej funkcjonalności. To nie tylko zaprowadzenie solidnego ogrodzenia, ale też wytyczenie wewnętrznych ciągów komunikacyjnych. Zadanie to spoczęło na barkach powojennych proboszczów limanowskich – ks. Ludwika Kowalskiego i ks. Józefa Poręby. Efektem ich działań jest współczesny kształt i estetyczny obraz limanowskiego cmentarza parafialnego.

Kończąc ten wątek, zapraszam na krótki, osobisty i czyniony przy domowym biurku spacer alejami limanowskiego cmentarza parafialnego. Wchodzimy „głównym” wejściem – przed nami fronton cmentarnej kaplicy Marsów (w „ochronie” których opatrność pozwoliła mi przepracować czterdzieści prawie lat). Po lewej stronie – wśród wielu innych – grobowiec rodziny Brożków, gdzie kiedyś dane mi było pochować Maksymiliana, artystę-malarza, jednego z tych, którzy przyczynili się do powstania limanowskiego muzeum. Był to chyba pierwszy w Limanowej pogrzeb świecki, a ja „chcąc nie chcąc” byłem ▶



► pierwszym „celebransem”. Nieco dalej, również na lewo, okazały, z czarnego marmuru pomnik na grobie sławnego, przedwojennego burmistrza Limanowej – Marcelego Bursztyna. Oprócz tego, że był burmistrzem osławionym ludową pieśnią o stłumieniu pierwszego ponoć w Galicji strajku gospodyń wiejskich, którym zaniżył urzędową cenę na jajka, był wziętym i cenionym restauratorem. Kiedyś doczytałem się, iż praktykował u niego Hawelka, którego kawiarnia i restauracja jest do dnia dzisiejszego ozdobą i chlubą Krakowskiego Rynku. Dalej grób Józefa Bogdanowskiego, powstańca z 1863r., który w okresie międzywojennym uświetniał swą obecnością wszystkie uroczystości patriotyczne w mieście i powiecie limanowskim. Na prawo grób, w którym pochowany został m.in. Stanisław Jasica – żołnierz Września 1939r., więzień niemieckich obozów, zagorzały

strażak, dobry muzykant i wieloletni śpiewak chóru męskiego. Idąc dalej alejkami cmentarza na nagrobkach: Anna Beckowa, to matka Józefa Beka – zasłużonego sekretarza powiatowego początków XX wieku, późniejszego wiceministra i babka przedwojennego ministra spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej – Józefa Becka. „Na prochach Szymanków – prof. Mieczysław Mordarski”, pierwszy orkiestrowy dyrygent i wychowawca wielu pokoleń nauczycieli w byłym Liceum Pedagogicznym. Idąc w dół – okazały grobowiec, w którym pochowani są księża związani swym pochodzeniem z parafią limanowską lub tutaj pracujący. Wśród nich - ks. Jan Rachwał, który nauczał religii i przygotował do I Komunii z połową dorosłej populacji dzisiejszej Limanowej i ks. Władysław Ślęk – wieloletni proboszcz parafii Limanowa - Sowliny. Nieco dalej, po prawej stro-

nie skromny grób ks. prałata Ludwika Kowalskiego, wieloletniego proboszcza i dziekana parafii limanowskiej, który w 1966r. doprowadził do uroczystej koronacji limanowskiej Piety. Spoczywa w jednym grobie ze swą siostrą Agnieszką, która przez kilka lat gospodarowała na limanowskiej plebani. Odziedziczony majątek zapisali kościołowi, sobie tylko pozostawiając ten symboliczny kawałek ziemi na limanowskim cmentarzu. Dalej, po prawej stronie, na prochach ojca jest pochowany por. Jan Bieda rodem ze Starej Wsi, zawodowy żołnierz Września 1939r., później obrońca Tobruku, uczestnik Bitwy pod Monte Cassino w 1944r. Po wojnie przebywał w Australii, zaś wszystkie swe żołnierskie pamiątki łącznie z mundurem przekazał do Muzeum w Limanowej. Kazał pochować się w Polsce, na „rodzinnym” cmentarzu i jego dumna żona, z pochodzenia Angielka,



Cmentarz obok kościoła w Łososinie Górnej.



Odświętnie przystrojone nagrobki na cmentarzu jabłonieckim.



Kamienne macewy na cmentarzu żydowskim.



przywiozła jego prochy w urnie i z pewnymi trudnościami, ale z całym pogrzebowym ceremoniałem, pogrzebała je na grobie rodzinnym. Był to pierwszy tego rodzaju pogrzeb w Limanowej.

Zejdźmy trochę niżej - po prawej stronie, tuż przy ścieżce - skromny grób Jana Wójcika - woźnego szkolnego, wieloletniego dyrygenta parafialnego chóru męskiego. Nigdy za swą solidną pracę w parafii nie brał żadnego wynagrodzenia. Nikt też nie żyje już z jego najbliższej rodziny. Niech go więc przywróci w pamięci ta krótka wzmianka. Na prawo – opisane już wcześniej „obiekty” związane z historią miasta Limanowa – mogiły z I wojny światowej, kwatery pomordowanych w czasie okupacji hitlerowskiej i inni. Dalej, wśród grobów moje osobiste wspomnienia – grób mojej babki – Anny i brata Czesława. Wspomnijmy jeszcze postać Franciszka

Miłkowskiego, który jako kapral – łącznościowiec, walczył pod Tobrukiem i Monte Cassino, a ja osobiście odwiedzam grób moich dziadków z Mordarki.

To tylko bardzo krótki i czasami osobisty (za co bardzo przepraszam) spacer po limanowskim cmentarzu parafialnym. Zachęcam do podobnych, każdy może znaleźć swoją „ścieżkę”, a przy niej groby krewnych, znajomych, sąsiadów, kolegów, przyjaciół. Pamiętajmy przy tym, iż ten skromny kawałek ziemi kryje w sobie ponad dwieście lat, dwa wieki historii naszego miasta i okolic.

Przejdźmy teraz przez most na Potoku Starowiejskim, wejdźmy na teren cmentarza komunalnego. Oddany do użytku w 1975r. zajmuje teren ok. 2,70 ha. Zorganizowany został już według pewnych kanonów architektonicznych – jego osią symetryczną jest szeroka alejka, od

której co kawałek, w lewo i prawo odchodzą boczne dróżki, doprowadzone kolidzie do poszczególnych sektorów. W centrum obszerna, nakryta czerwonym, dachówkowym dachem i zwieńczona wieżyczką kaplica, oficjalnie zwana domem pogrzebowym. Wnętrze zdobi prosty ołtarz pozwalający na odprawianie żałobnych uroczystości. Są również odpowiednie pomieszczenia i urządzenia do przechowywania trumien ze zwłokami zmarłych. Wszystko proste, skromne, ale funkcjonalne i licujące powagą z charakterem odbywających się tu uroczystości. Kaplica szczególnie ożywa w czasie „wiosennego” dnia zmarłych, tradycyjnie od kilkunastu lat organizowanych w Limanowej w przedostatnią sobotę czerwca oraz tradycyjnych „zaduszek”, organizowanych przez limanowskie Muzeum i Towarzystwo Miłośników Ziemi Limanowskiej w okresie bezpośrednio poprzedzającym listopadowe Święto Zmarłych. Gromadzą się wtedy mieszkańcy miasta wspominając tych, którzy szczególnie zasłużyli się dla rozwoju miasta – działaczy społecznych i kulturalnych, członków zespołów śpiewaczych, nauczycieli, sportowców, służących wiernie miastu od ponad wieku strażaków – ochotników. Młodzież szkolna składa wiązanki kwiatów i świeci znicze na ich grobach, wszyscy uczestniczą w uroczystej Mszy Świętej, odmawiają różaniec za dusze zmarłych.

W obrębie cmentarza istnieje blisko 2200 grobów, przy czym w dużej części (ok.25-30%) to grobowce duże kilkoosobowe. Wiecznym snem spoczywa tu ok. 2 tys. zmarłych – mieszkańców Limanowej, Sowlin, Mordarki, Starej Wsi, Lipowego, a również z innych, odległych nieraz miejscowości.



Cmentarz z I wojny światowej na Golcowie.

Podobnie jak na cmentarzu parafialnym i tutaj przechodząc jego „uliczkami”, co rusz napotykamy na groby znanych bliższych, znajomych, z ludźmi, z którymi za ich życia się spotykaliśmy. Pochowani tam są moi rodzice – Anna i Józef, wódcy miasta Limanowa – Jan Cepielik i Jan Kubowicz, działacze społeczni i kulturalni – Jerzy Obrzut, Czesław Bogacz, dyrektorzy limanowskich szkół – Liceum Ogólnokształcącego – Wilhelm Tabor z Liceum Pedagogicznego – Antoni Bieda wraz z małżonką Marią, Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych – Tadeusz Ociepka wraz z żoną Marią. Moi nauczyciele i profesorowie – Józef Staniszewski, Piotr Orzechowski wraz z żoną Anną, Maria Czerwowa i wielu, wielu przyjaciół. Pisząc te słowa, przypomniała mi się postać leśnika i wspaniałego przewodnika górskiego – Wiesława Jachymczyka, który nie zniósł życiowych przeciwności i skoczył w Pieninach spod Sokolicy w otchłań dunajskiej doliny. Dopiero po latach, wraz z kolegami turystami żegnałem ocalałe i przypadkowo znalezione szczątki na limanowskiej ziemi.

Przenieśmy się na teren Łososiny Górnej, niegdyś samodzielnej wsi, dzisiaj w większości włączonej w granice miasta Limanowa. Spotkamy tam dwa cmentarze. Pierwszy z nich, podobnie jak w Limanowej, to teren przykościelny otaczający zabytkowy kościół powołania Wszystkich Świętych. Jest z pewnością starszy od limanowskiego – starsza, bowiem jest też parafia. Z tą wspólnie dzielił historyczne dzieje – dla przykładu, kiedy w czasach reformacji religijnej kolatorzy, czyli prawni ze strony świeckiej opiekunowie łososińskiej świątyni, sprofanowali kościół, to samo uczynili z otaczającym go cmentarzem. Obejmujący w 1615 r. ksiądz katolicki, który z ruin podniósł parafię, notował: „[...] Anno domini 1615, gdy m plebanie przejął łososińską [...] bacząc szkoda wielka, że psy nosiły kości ludzkie, pod zwnonicą (dzwonnicą) grób kazalem wybrać i pochowałem[...]”.

Nie mamy zbyt dużo wiadomości o tym cmentarzu, który jest czynny do dnia dzisiejszego.

Drugi cmentarz parafialny, położony pomiędzy drogą w kierunku Piekieleka i Rybia (dzisiejsza ul. Łososińska) a rzeką Łososińską to od prawie dwustu lat miejsce wiecznego spoczynku zmarłych nie tylko z Łososiny, ale również okolicznych wiosek, stanowiących niegdyś rozległą parafię – Koszar, Wałowej Góry, Pasierbca, Makowi-

cy, Młynnego, a nawet odległej Laskowej. Spoczywają tu ostatni dziedzice łososińscy – Pieniążkowie oraz członkowie rodziny Żuławskich z Młynnego. Spoczywa tu też zasłużony dla rozwoju gospodarczego powiatu limanowskiego twórca i wieloletni dyrektor słynnej Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie, inż. Jan Drożdż (1895-1955). W latach ostatnich, staraniem byłego proboszcza łososińskiego – ks. Ryszarda Stasiaka, cmentarz został uporządkowany i znacznie powiększony.

Poświęćmy teraz kilka zdań cmentarzowi już dawno nieczynnemu. To położony tuż przy ulicy Kolejowej, nad torami, cmentarz „choleryczny”. Oznakowany skromnym krzyżem kryje szczątki ofiar częstych dawniej epidemii chorób zakaźnych, głównie czarnej ospy i cholery (stąd jego nazwa). „Morowe powietrze” – tak, bowiem popularnie określano te groźne zjawiska, były wielkim postrachem, okresowo nawiedzającym nie tylko zresztą te strony. Nic więc dziwnego, że w błagalnej pieśni pokutnej wołano: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny – zachowaj nas Panie”. Pięknie to oddaje malarska dekoracja na górnym sklepieniu limanowskiej bazyliki. Ostatnie ataki epidemii cholery w okolicach Limanowej kroniki notują jeszcze w połowie XIX w. Jedną z 1847 r. uważano za karę boską po wielkiej rabacji z roku poprzedniego, w czasie której zbuntowane chłopstwo rozgabiło majątki wielu dworów szlacheckich, często mordując ich dziedziców. Ofiary tych epidemii, głównie ze względów sanitarnych, grzebano poza zabudowanymi centrami poszczególnych miejscowości.

Niedaleko od cmentarza cholerycznego – Kirkut, cmentarz żydowski, w wymowie potocznej zwany „kierkowem”. Trudno bliżej określić datę jego powstania, ale musiało się to stać około połowy XVII wieku, wtedy bowiem w Limanowej pojawiają się pierwsze rodziny żydowskie. Czynny był do czasów II wojny światowej, kiedy to hitlerowcy wymordowali, bądź też wypędzili z miasta ludność pochodzenia żydowskiego. W czasie okupacyjnego terroru odbywały się tu pojedyncze egzekucje, tu też pochowanych zostało około pięćdziesięciu limanowskich Żydów rozstrzelanych w lipcu 1940 r. pod murem przy dzisiejszej ulicy Kilińskiego. W zbiorach limanowskiego muzeum zachowały się trzy fotografie z tej egzekucji, wśród nich jedna ukazująca limanowskich Żydów ciągnących wóz ze zwłokami pomordowanych pobratymców.

Cmentarzem opiekuje się gmina żydowska z Tarnowa, jego teren jest solidnie ogrodzony, rosnąca na nim trawa corocznie koszona. W większości jego części zabytkowy już wtedy wygląd został zniszczony w okresie okupacji hitlerowskiej, kiedy to zabytkowe, kamienne „macewy”, czyli nagrobki, zostały zużyte przy przeprowadzanej wtedy przebudowie limanowskiego rynku – wykonane z nich m.in. zostały kamienne ławeczki, które starsze pokolenie Limanowian pamięta i z których wszyscy korzystali, nie wiedząc, iż siadają na nagrobkach. Było tak nie tylko w Limanowej, ale w wielu galicyjskich miasteczkach, gdzie dawniej ludność żydowska stanowiła duży procent mieszkańców. Z nowych obiektów, to dwa kamienne obeliski, które w języku polskim i hebrajskim informują o charakterze i tradycji tego miejsca. Cmentarz często odwiedzany jest przez potomków limanowskich Żydów, którzy – co miałem możliwość wielokrotnie obserwować, oprowadzając ich – z wielkim skupieniem i czcią szukają swoich korzeni.

Trzy następne cmentarze nawiązują do wydarzeń historycznych, których miejscem były okolice Limanowej. Pierwszy z nich to cmentarz wojenny z czasów I wojny światowej na górującym od południowo-wschodu nad centrum miasta wzgórzu Jabłoniec.

To pamiątka po wielkiej Bitwie pod Limanową, która rozegrana została w dniach 8-12 grudnia 1914 r. Działania bojowe toczono na wielkim obszarze – od Bochni na północy po Krościenko na południu. Wzięło w nich udział około 200 tys. żołnierzy – austro-węgierskich, Niemców i Rosjan. Widocznym świadkiem tych wydarzeń jest około stu cmentarzy wojennych, na których leży ponad 11 tys. żołnierzy wszystkich narodowości – Węgrów, Austriaków, Niemców, Czechów, Słowaków, Rosjan, a także Polaków, którzy jako poddani zarówno cesarza austriackiego, jak też i cara rosyjskiego walczyli przeciw sobie.

Ostatnim akordem tej bitwy był bój o wzgórze Jabłoniec, stoczony rankiem 12 grudnia 1914 r. Jego bohaterami są spieszni huzarzy pułku węgierskiego, których kilkunastu poległo – wśród nich był dowódca – płk Othmar Muhr, któremu później cesarz austriacki Franciszek Józef dodał do nazwiska przydomek „Limanowa”, noszony zresztą przez jego potomków do dnia dzisiejszego.

Nekropolia na Jabłonce, choć nie największa, miała być reprezentacyjną dla całej tej bitwy. Stąd też specjalna troska o jej



Mogiły żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich zastrzelonych przez UB w 1945 roku.



Mogiła Jana Dutki poległego na wojnie polsko-bolszewickiej w 1919 roku.



Grób ks. prałata Ludwika Kowalskiego, wieloletniego proboszcza i dziekana parafii limanowskiej.

architekturę i wygląd. Projektantem całości był morawski architekt, oczywiście wówczas wcielony w szeregi armii cesarskiej.

Druga północna część jabłonieckiej nekropolii, oddzielona od cmentarza głównego dzisiaj utwardzoną już drogą grzbietową, miała mieć – wg projektanta Gustawa Ludwika charakter reprezentacyjny. Jej głównymi elementami miały być kamienne balustrady ze schodkami, otaczające wzniosły kamienny obelisk, zakończony maltańskim krzyżem. To zostało zrealizowane, nie zdążono jednak wykonać dwóch potężnych kamiennych lwów, które miały strzec owego obelisku. Całość zaś miała być widoczna z „cesarskiej” drogi z Limanowej do Nowego Sącza i linii Galicyjskiej Kolei Transwersalnej. Północny stok jabłonieckiego wzgórza był wtedy jeszcze niezalesiony.

W kompozycję tę wpisano po II wojnie światowej pięć zbiorowych mogił, w których pochowani zostali partyzanci radzieccy i żołnierze Armii Czerwonej polegli w okolicach Limanowej w styczniu 1945r. W ostatnich czasach dodano do tego dwa niewielkie, kamienne obeliski z tablicami w językach polskim i rosyjskim, które objaśniają sens i pochodzenie tych obiektów.

Zagłębimy jeszcze na niewielki cmentarz z czasów I wojny światowej, a położony już na terenie Starej Wsi, na wschodnich zboczach góry Golców. Obiekt stosunkowo mały (38 x 9,5m²), ogrodzony kamiennymi słupkami i metalowymi rurami, w 16 grobach pojedynczych i 10 zbiorowych prochy 47 żołnierzy austro - węgierskich i 32 rosyjskich.

Tych, co mają siły i ochotę, w dni listopadowe, ale nie tylko w te dni, zachęcam do spacerów po limanowskich cmentarzach. To wspinała lekcja historii, szczególnie tej regionalnej, naszej „Małej Ojczyzny”. To archiwalna księga zapisana dłutem i ryłcem, podtrzymująca pamięć o najbliższych, z której można wyczytać dzieje lokalnej społeczności.

A naszą, pisaną wędrowką, rozpoczętą cytatem autorstwa wielkiego bohatera I wojny światowej zakończmy może strofą góralskiej pieśni dużo dającej do myślenia w te pełne nostalgii listopadowe dni:

„[...]Ej byli chłopcy, byli, ale się minęli. I my się miniemy po malutkiej chwili[...]”.

Tekst: Jan Wielek

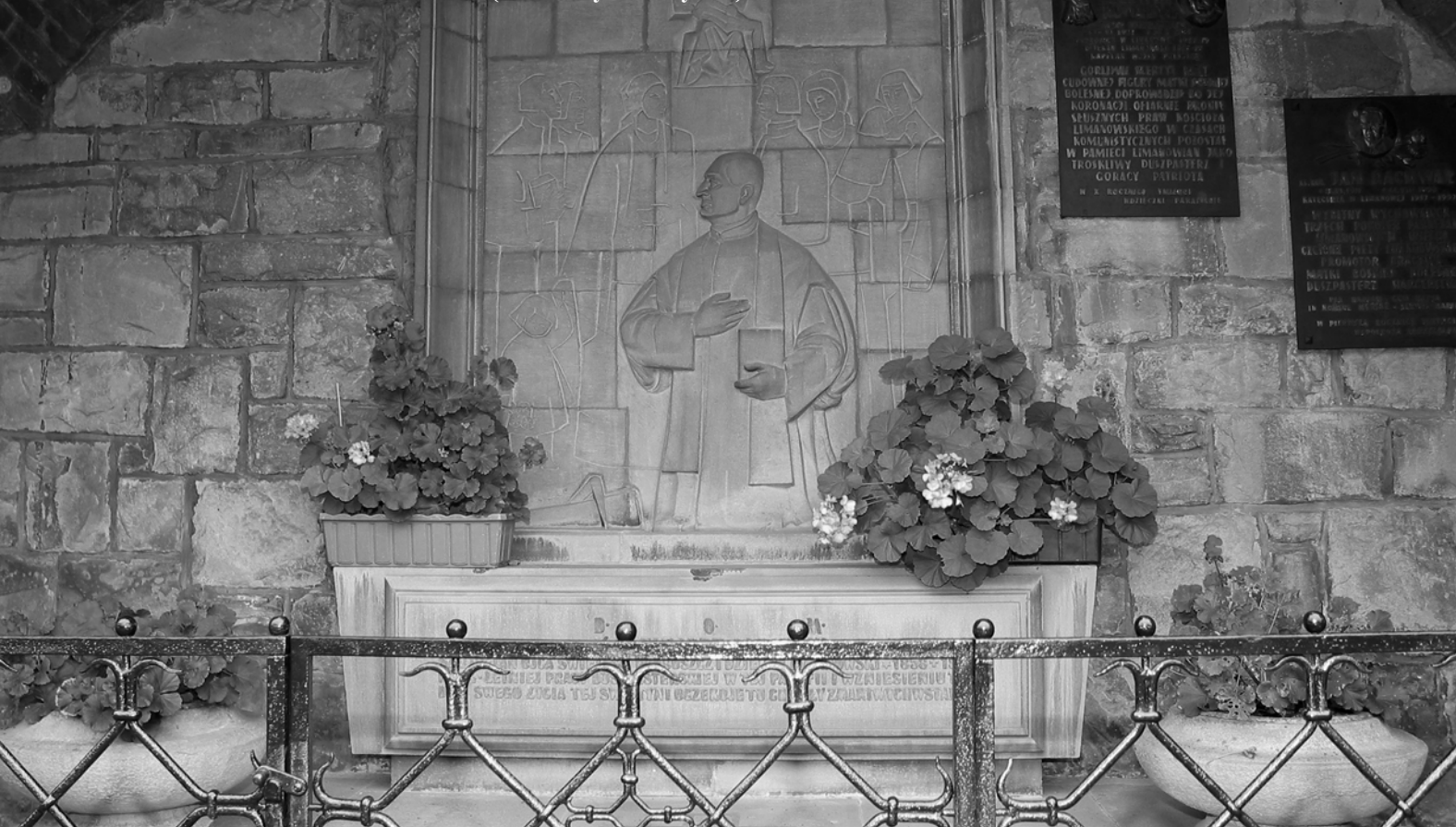
Fotografie: Stanisław Ociepka,

Stanisław Rząsa,

arch. albumu „Okruchy pamięci”

Fotografie na stronie 2. przedstawiają cmentarze: parafialny i komunalny.

Narody pamiętają o tych, którzy dla ich
dobra poświęcali się - którzy w obronie ich praw
i swobód położyli to, co po honorze mieli najdroższego - życie!
(Konstanty Gasczyński)



W arkadach przy północnej ścianie limanowskiej bazyliki znajduje się nagrobek ks. prałata Kazimierza Łazarskiego. W tych samych arkadach są tablice pamiątkowe: katyńska, ks. Ludwika Kowalskiego, ks. Jana Rachwała, ks. płk. Józefa Jońca.

Epitafium a nagrobek, tablica nagrobna i pamiątkowa

Józef Szymon Wroński

Epitafium to ozdobna tablica, poświęcona pamięci zmarłego, zawierająca napis, czasem portret lub scenę figuralną, a także symbole i postacie alegoryczne. Umieszczana bywa zwykle na ścianach kościołów i kaplic. Epitafium różni się od *nagrobka*, który upamiętnia w formie pomnika osobę zmarłą lub miejsce jej pochówku, mniej okazałą formą i na ogół skromniejszą dekoracją. Jeszcze skromniejszą od epitafium jest *tablica nagrobna* (z inskrypcją), pozbawiona zupełnie ozdób.

Limanowa posiada kilka interesujących przykładów płyt epitafijnych oraz tablic nagrobnych i pamiątkowych. Na cmentarzu parafialnym oraz w podcieniach bazyliki limanowskiej znajdują się tablice nagrobne i pamiątkowe z nazwiskami pomordowanych przez okupanta limanowian, którzy oddali swe życie na ojczyźnej ziemi lub w innych miejscach kaźni, jak również daleko stąd - *na nieludzkiej ziemi* - np. w Katyniu.¹

Nazwiska wymienione na płytach, ułożonych w formie krzyża, w podcieniu bazyliki, którym towarzyszy tondo z głową Chrystusa w ciemnej koronie, które przypomina rysunek głowy Chrystusa CK. Norwida, a pod tondem, napis mówiący o roku powstania tablic: *W 40-lecie Wybuchu II Wojny Światowej*, tworzą uszeregowane grupy. Poniżej widnieją nazwiska poległych w kampanii wrześniowej żołnierzy i obywateli, którzy oddali życie za Ojczyznę.

Są to: por. Klasura Władysław, ppor. Mamak Kazimierz, Biedroń Władysław, Joniec Walenty, Kukla Władysław, Ptak Jan². Pomordowani proszą o modlitwę dla siebie i dla swoich towarzyszy broni.

Kolejną grupę stanowią pomordowani przez okupanta w latach 1939-1945: Biedroń Franciszek, Biedroń Kazimierz, Czaja Edward, Czajkowski Rudolf, Filipiak Jan, Filipiak Stanisław, Gilewicz Stefan, Górka Stanisław, Halota Antoni, Jankowiak Teodor, Joniec Jan, Kaim Józef, Kaździółka Józef, Kociubajło Tadeusz, Korzeniak Aleksander, Kozdrun Tadeusz, Kubiacyk N., Kuźniarski Andrzej, Lustig A., Mamak Stanisław, Mamak Józef, Mitka Tadeusz, Nogawiecki Edward, Obrok N., Ociepka Wojciech, Olszewski Stefan, Polak Wilhelm,

Pilarski³ Stanisław, Poško Władysław, Puch J., Reyman Tadeusz, Rusin Antoni, Rusin Jan, Semik Jan, Skrażyna Piotr, Studencki Józef, Surma Antoni, Surma Jan, Surma Magdalena, Surma N., Śliwa Andrzej, Tomasik Jan, Wieczorek Antoni, Wilczek Alfred, Wojtowicz Stanisław, Zajic Edward, Zajic Engelbart, Zieliński Franciszek, Zieliński Ignacy, Zoń Jan.

Następna grupa to polegli w walce partyzanckiej: Biedroń Henryk, Biedroń Stanisław, Biedroń Jan, Biedroń Stanisław AK, Biedroński Jan, Kalita Jan, Kądziołka Józef, Mamak Józef, Stanisiz Franciszek, Tomasik Franciszek, Aleksander Weinbrenner. U dołu tablicy napis błagalny, w formie wierszowanej, wzywa do modlitwy: *Matko Boża za ich cierpienia, uprosz im łaski zbawienia*. Miedziane tablice z nazwiskami ofiar hitlerowskiego i sowieckiego terroru z inicjatywy ks. Ludwika Kowalskiego zaprojektował Jerzy Bieżanowski-artysta plastyk urodzony 18 września 1912 r. w Jarosławiu, ale studiujący i pracujący w Krakowie⁴.

W podcieniu bazyliki limanowskiej znajduje się kamienny nagrobek ks. prał. Kazimierza Łazarskiego (1858-1944) za-

projektowany w latach 1956-1957 (w okresie odwilży popaździernikowej) przez arch. Antoniego Mazura z Krakowa⁵, a ufundowany przez społeczność miasta z inicjatywy ks. proboszcza Ludwika Kowalskiego na zbliżającą się (wówczas w 1958 r.) 100-rocznicę Jego urodzin. Nagrobek z wizerunkiem budowniczego kościoła i inskrypcją dedykacyjną mówiącą m.in. o tym, iż tu oczekuje on zmartwychwstania, ufundowało społeczeństwo Limanowej jako wyraz uznania dla jego zasług w dziele budowy kościoła-pomnika 100-rocznicy Konstytucji Majowej. A oto jego treść:

D. O. M. Kazimierz Łazarski, Szambelan Ojca Świętego, Proboszcz i Dziekan Limanowski 1858-1944. Po 54-letniej pracy duszpasterskiej w tej parafii i wzniesieniu trudem swego życia, tej świątyni oczekuje tu chwały zmartwychwstania.

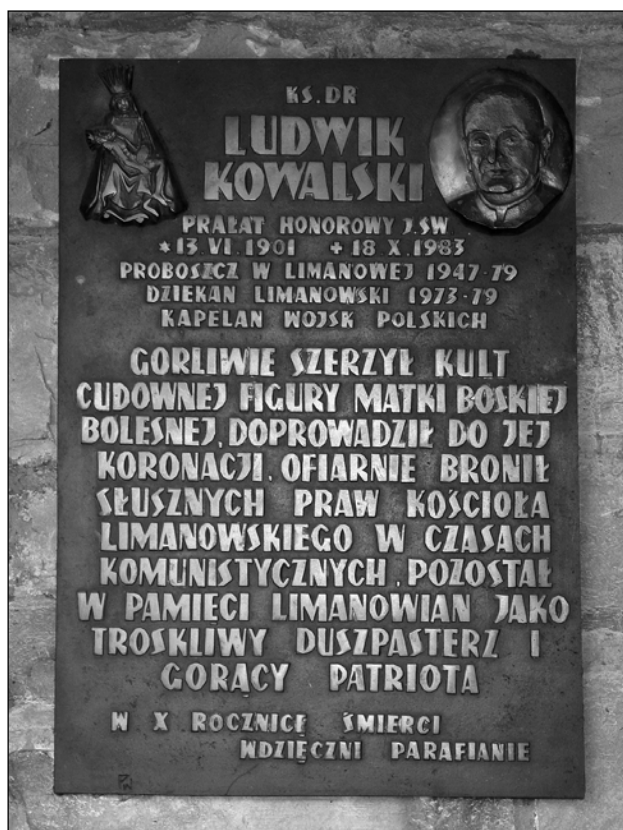
Obok wiszą tablice epitafijne poświęcone zasłużonym księżom: ks. dr Ludwikowi Kowalskiemu, proboszczowi limanowskiemu w latach 1947-1979 oraz ks. katechecie Janowi Rachwałowi, który w Limanowej pracował przez 55 lat od 1937 do 1992⁶. Tablice te ufundowano za czasów proboszczowania ks. prał. Józefa Poręby.

Na epitafium ks. dr Ludwika Kowalskiego, z wizerunkiem MB Bolesnej Limanowskiej po lewej stronie i popiersiem ks. Kowalskiego po prawej, czytamy:

Ks. dr Ludwik Kowalski - Prałat honorowy J. Sw. ur. 13 VI 1901 r. zm. 18 X 1983 r. Proboszcz w Limanowej [w latach] 1947-1979, Dziekan Limanowski [w latach] 1973-1979, Kapelan Wojsk Polskich, gorliwie szerzył kult Cudownej figury Matki Boskiej Bolesnej. Doprowadził do Jej koronacji. Ofiarnie bronił słuszych praw Kościoła Limanowskiego w czasach komunistycznych, pozostał w pamięci Limanowian jako troskliwy duszpasterz i gorący patriota. W dziesiątą rocznicę wdzięczni parafianie.

Zaś na epitafium ks. kanonika Jana Rachwał, na którym u góry na tle trzech róż widnieje jego wizerunek, możemy przeczytać: *ks. kan. Jan Rachwał, ur. 13 VI 1911, zm. 14 VIII 1992, katecheta w Limanowej [w latach] 1937-1992, wybitny wychowawca trzech pokoleń parafian limanowskich, wielki czciciel Piety Limanowskiej, Promotor Bractwa Matki Boskiej Bolesnej, Duszpasterz Harcerstwa, a u dołu Jego zawołanie*





- hasło życia, którym się kierował: *Per Mariam, Cum Marie, In JSomine Mariae - Servus Mariae*. W pierwszą Rocznicę Śmierci wspólnota parafialna [tę tablicę epitafijną ufundowała].

W dniu 7 września 1996 r. odsłonięta została w obecności (ówczesnego) biskupa polowego ks. Sławoja Leszka Głódzia tablica epitafijna, poświęcona ks. kapelanowi spod Monte Casinno, ks. płk. Józefowi Jońcowi⁷.



Ks. płk. Józef Joniec ur. 11 III 1900 w Limanowej, zm. 21 XII 1956 w Oświęcimiu, żołnierz legionista 1916-1918, obrońca Lwowa 1919, uczestnik wojny obronnej [w] 1920 r., kapelan III Dywizji Strzelców Karpackich - Na Szlaku Bojowym Tobruk, Monte Casino, Bolonia 1940-1945, Duszpasterz Wojskowy w Anglii 1946-1948, proboszcz w Balinie i Woli Justowskiej, Dziekan Oświęcimski. W 40 Rocznicę Śmierci Rodacy Limanowscy tę tablicę ufundowali.

Za tych Wszystkich (nie tylko tutaj wymienionych) przechodniu zmów Zdrowaśkę i westchnij do Boga!



¹ Odbывают się tutaj (przy tablicy katyńskiej) apele za poległych, które pod kierunkiem limanowskich nauczycieli przygotowuje młodzież szkolna. W jednym z nich wziął udział także krakowski zespół „Prokontra” (w składzie: Jadwiga Wrońska, Maria Pohorecka, Katarzyna Wrońska - pod kierunkiem Edwarda Jąłoszewskiego), który w 2000 r. w ogólnopolskim konkursie „Katyń - Golgota Wschodu” za montaż słowno-muzyczny otrzymał I nagrodę Ministra Edukacji Narodowej. Nagrody w imieniu Premiera Jerzego Buzka wręczyła p. Marszałek Alicja Grześkowiak. Na uroczystości był również obecny ks. Zdzisław Peszkowski.

² W Katyńiu zginął m. in. Jan Romuald Ptak. Zob. A. K o z ł e c k i. *Jan Romuald Ptak*, „Mater Dolorosa”, R.XVU:1994, nr 1 (36). s. 15-19.

³ Według rodzin i znawców winno być: Pilawski. Jednak nazwiska podane zostały zgodnie z zapisem na tablicy.

⁴ Por. I. Sz. Wroński, *Ksiądz proboszcz Ludwik Kowalski kontynuator dzieła księdza pralata Kazimierza Łazarzkiego*, „Mater Dolorosa” BSMBBwL, R. XVI; 1993, nr 2 (33) s. 21.

⁵ Antoni Mazur. *Moje kościoły*. Kraków 2003. s. 85.

⁶ J. Sz. W r o ñ s k i, *Pamięci zasłużonych duszpasterzy*. „Czas” krakowski R.IV: 1993 nr 199 (943) z 27 sierpnia (piątek) wyd. C s. 6

⁷ Jego imię otrzymała Szkoła Podstawowa nr 3 w Limanowej, w której znajduje się okolicznościowa tablica (o niej w następnym odcinku), zob. J. B.) Jerzy Bogacz, *Szkoła i jej patron*, „Echo Limanowskie” nr 36, Wrzesień 1996, s. 6-10.

Po bitwie na Jabłońcu

- wspomnienia Wincentego Gawrona

Uciekał z domu, aby ojcu, Janowi Gawronowi, wójtowi Starej Wsi towarzyszyć w pochówku żołnierzy po bitwie na wzgórzu Jabłoniec.

Mając sześć lat, z ukrycia przyglądał się tej niesamowitej czynności, która wywarła na nim olbrzymie wrażenie, co miało wpływ na jego późniejszą twórczość.

Po wielu latach Wincenty Gawron w publikacji zatytułowanej „Wspomnienia lat chmurnych”, opisał wydarzenia, które miały miejsce po limanowskiej bitwie i związane były z pochówkiem żołnierzy, budową cmentarza, a także z wieloma innymi przeżyciami, które miały miejsce w tym czasie. Obszerne fragmenty tych wspomnień publikujemy, po raz pierwszy na łamach „Echa”.

Ranek 12 grudnia 1914 roku, jakby na przekór okropnej nocy i świtu, pełnej okrzyków „hurra” dolatujących z Jabłonce, wstał cichy i bezmroźny.

Tak ojciec jak i sąsiad Kądziołka, który po spaleniu się jego domu znalazł schronienie u nas, wyjrżeli na pole. Kądziołka, dawny wojskowy wyga, ba, nawet eugsfuhrer cesarskich jegrów, ledwo rozejrzał się po okolicy, w lot pojął całą grozę położenia.

- Jasiu! Wezmą nas we dwa ognie, jesteśmy w samym środku frontu. Na dworskich polach w nocy wykopali jedną linię okopów. Tu przez dział, okrakiem do drogi zrobili jeszcze jedną linię rowów strzeleckich, a od mojej spalonej chałupy równoległe do naszych, biegnie front rosyjski. Strach pomyśleć, co tu będzie się działo – biadał, załamywał ręce.

Cisza tylko była dziwna i zastanawiająca. Na razie nigdzie nie było widać wojska. Jedyne od gościńca biegła jakaś postać w cywilnym ubraniu.

- Nie ma już Moskali! – krzyczał radośnie. – Ostatnie patrole minąłem na Rysiówce w Mordarce.

Zwiastunem tej dobrej wieści był Raczek z Pisarzowej, który nie mógł się dość nacieszyć z zakończenia awantur wojennych.





Grzebaniem zwłok po bitwie zajmował się wójt Starej Wsi Jan Gawron z miejscowymi chłopami.



Groby żołnierskie po bitwie pod Limanową w 1 listopada 1915 roku poświęcił ks. Kazimierz

► Ledwie, że ojciec ochłonął z tej wiadomości, gdy zjawił się ktoś starszy z huzarów, który przyniósł ojcu rozkaz, że ma zająć się kopaniem grobów dla poległych na Jabłońcu. Rad nierad ruszył ojciec z Kądziołką werbować sąsiadów do tej pracy. Poszli wszyscy, których pobór ominął, a więc: Szewczyk, sąsiad Michał Szubryt, Jasiak Biernat, Walek Szubryt – niemowa, Antek Szumilas, Jakub Chudy, Staszek od Kąckiego, Michał Abram, Jan Jasica, Antoni Wąsik, Antek Jasica i wielu chłopów z Woli. Po zgromadzeniu ich na pobojuwisku chłopci pod jakimś pioniera w stopniu feldfebla przystąpili do kopania masowych grobów dla poległych Rosjan i grupowych dla huzarów i infanterystów austriackich.

Widok tak dla ojca, jak i Kądziołki, nie mówiąc już o przygodnych grabarzach, był okropny. Wszyscy czuli się jak w ogromnej rzeźni, w której człowiek zarzynał człowieka. Wszyscy polegli leżeli już bez butów, Moskale z opuchłymi od uderzeń kolb i łopat głowami, huzarzy pokłuci bagnietami. Teraz w cichej zgodzie, chociaż w przeróżnych pozach i w poplątanych kupach, leżeli na śniegu. Moskale w piaskowej barwy szynelach, z torbami u boku, w których był suchy bób. O takim pożywieniu carski żołdat musiał walczyć i ginąć. Wśród rosyjskich zabitych był jeden kapitan i porucznik.

Zniwo śmierci oficerskich wśród Austriaków sięgnęło po wyższe szarże. Zginął pułkownik Othmar Muhr oraz major Thun (baron).

Pierwszego przyniesiono w płachcie namiotowej do naszego domu już podczas nieobecności ojca. Huzarzy, którzy go przynieśli, zażądali od mamy jakiegoś wózka, a że była tylko jednokółka, więc spryciarze wojacy dołożyli do tego tzw. kolca od pługa o dwu kołach, połączyli to pasami i stworzyli z tego coś w rodzaju małego pogrzebowego karawanu, na jego wierzch kładąc deskę, a na niej złożono ciało.

Z trudem tym pojazdem dojechano na gościniec, którym szły w dwu rzędach wojska: jezdne środkiem, a piesze bokiem. Pomimo tłoku wszyscy usuwali się na bok, albowiem znać było, że pod celtą jedzie ktoś wysokiej rangi, jako, że same żółte buty wskazywały na to, więc oficerowie obnażali szable, podawali komendę: „Baczność!”, a wojsko przeżyło się mocno i patrzyło w prawo.

W mieście huzarzy zarekwirowali podwodę, zwalniając mamę z jej kombinowanym pojazdem. Powrót do domu łatwy nie był. Całą szerokością drogi przepychało się maszerujące ku Sączowi wojsko i mama, aby wrócić do domu, musiała ciągnąć wózek rowem.

Po odejściu huzarów i ich koni powoli w domu zaprowadziliśmy ład, choć święta nie zapowiadały się tak hucznie jak dawniej.

Gościńcem rozjechanym doszczętnie stale ciągnęły na wschód przeróżne taborzy. Wojsko zażądało od wójtów wsi, przez które szła główna droga, robotników do usuwania błota, gdyż zimy właściwie nie było. W kilka dni po bitwie

uruchomiono zwózkę wszelkiej broni z Jabłońca, ku miastu ciągnęły więc przez nasze pole, dawnym szlakiem na Węgry, ładowne wozy. W naszym potoku znalazło się wojskowe siodło, a w lesie wisiał na drzewie cielecy tornister austriacki, zostawiony przez jakiegoś żołnierza, uciekiniera z jabłoneckiego szturmu.

W Limanowej wszystko wróciło do normy. Otwarto sklepy, uruchomiono urzędy, z których najbardziej czynny był urząd poborowy. Uruchomiono też i urząd wypłacania zasiłków rodzinom tak poległych, jak też, którzy jedynych żywicieli mieli w wojsku.

W żydowskim hederze (szkole), tuż koło Królowej kapliczki założono obóz dla rosyjskich jeńców wojennych, którzy zatrudnieni zostali przy budowie nowego cmentarza na Jabłońcu. Uroczyste jego otwarcie nastąpiło w Dzień Zaduszny 1915 roku. Dzień był wtedy ładny, bezśnieżny. Groby austriackie miały wieńce z jedliny, a na najwyższym miejscu pagórka wznosił się wielki, drewniany krzyż na dużym cokole z desek w kształcie czterospadowego dachu.

Młodzież szkolna przyszła obowiązkowo, by zapalić świeczki na grobach. Przyszła też miejscowa władza, więc starosta, naczelnicy urzędów, no i wojskowi. Cmentarz w tym stanie miał służyć tymczasem, a w przyszłości miał otrzymać mauzoleum z piękną kaplicą z kamienia, kamienne krzyże i mur naokoło. Dodatkowy cmentarzyk wojskowy dla legionistów i austriackich żołnierzy powstał w dolnej części cmentarza parafialnego.



1914 roku. Wygląd pierwszego cmentarza, który Łazarski.



Mogiły żołnierzy austriackich i legionistów - przed grudniem 1914 roku poległych żołnierzy chowano na cmentarzu parafialnym.

Z chwilą przybycia jeńców włoskich cmentarz na Jabłońcu zmieniał wyraźnie swoje oblicze. W miejscu dawnego krzyża z drzewa wyrwanego burzą i odrzuconego daleko stanęła kaplica w formie armatniego pocisku. Tu miała w piwnicy podziemia stać trumna z ciałem bohatera Muhra. Inny bohater, hrabia Thun otrzymał w miejscu, gdzie padł, murowany obelisk. W miejscu śmierci Muhra i jego huzarów, którzy go bronili, stanął kamienny pomnik z wyrytym opisem wydarzenia. Na zewnątrz cmentarza stanął kamienny mur, a w północnej części wysoki krzyż z kolumnadą i tarasem. Wybudowano też i drogę od gościńca aż do szczytu. Wszystkie te kamieniarskie roboty wykonali włoscy specjaliści. Mieli oni pomocników Rosjan, którzy zostali zakwaterowani po chałupach.

Drugi mniejszy cmentarz wojskowy powstał na górze Golców, który był jakby wysuniętym bastionem rosyjskiego skrzydła w 1914 roku.

I tam również zbudowano cmentarz, przy budowie którego zatrudnieni byli jeńcy Rosjanie.

W tym krótkim artykule zostały przedstawione jedynie wybrane fragmenty opisów wydarzeń z okresu stoczonych walk I wojny światowej na froncie tzw. łapanowsko-limanowskim, które zostały spisane na 140 stronach przez Wincen- tego Gawrona.

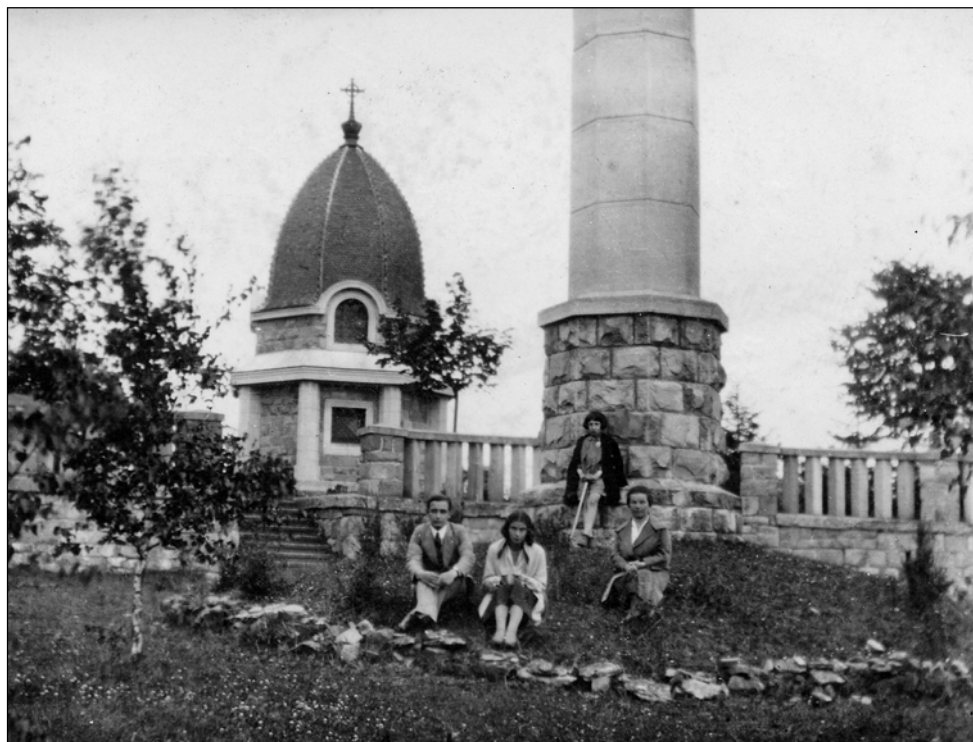
Niestety, „Wspomnienia z lat chmurnych”, w których opisy te się znajdują nie są ogólnie dostępne, gdyż nigdy nie zostały wydane.



Okopy pozostawione na pamiątkę stoczonych bitwy na Jabłońcu (dziś nieistniejące).

Rękopis znajduje się w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, zaś dwa egzemplarze przepisane maszynopisu posiada rodzina Gawronów. A szkoda, bowiem zapewne publikacja ta stanowi wartość historycznego dokumentu, do którego warto powracać.

**Opracował: Stanisław Ociepka
na podstawie wspomnień Wincen-
tego Gawrona
pt. „Wspomnienia lat chmurnych”
Fotografie: arch. albumów „Okruchy pamięci”**



Pierwszym założeniem budowy cmentarza z I wojny światowej było powiązanie miejsca bitwy na Jabłońcu z Limanową.



Z tarasu widokowego przy kamiennym obelisku rozciągała się panorama Pasma Łososińskiego.

Perła pamiątek przeszłości – cmentarz z I wojny na Jabłońcu

We wrześniu br. w mediach było głośno o „perle pamiątek przeszłości”, jaką niewątpliwie jest cmentarz z I wojny światowej na wzgórzu Jabłonec w pobliżu Limanowej.

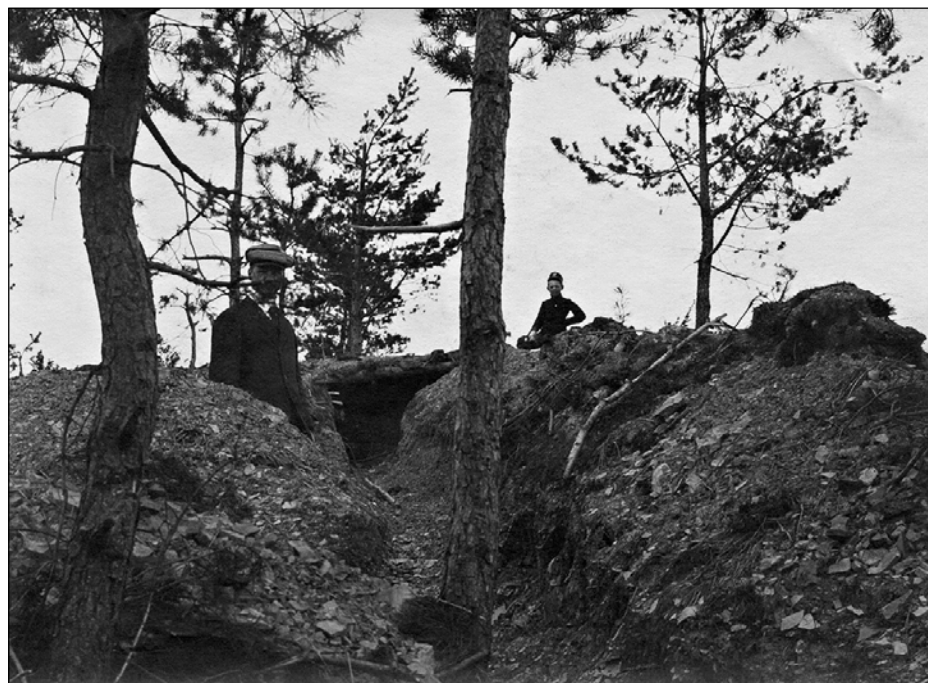
Przypomniano o tym miejscu nie z racji zbliżającej się 100. rocznicy stoczonej tu bitwy, ale ze względu na „dyskusyjną” propozycję przeniesienia w rejon cmentarza monumentu, który obecnie znajduje się w parku miejskim, a do początku lat siedemdziesiątych stał po stronie południowo – zachodniej limanowskiego rynku. Monument ten miał wyrażać jak na nim napisano: „Wieczystą przyjaźń z narodami radzieckimi”.

Wiele wypowiediano wówczas myśli, a prezentowane stanowiska, wywoływały często burzę polemik. Na szczęście miały tylko charakter propozycji. Znaczący temat najczęściej stwierdzali: „Przeniesienie monumentu na cmentarz jabłoniecki zakłóci harmonię pierwotnego założenia architektonicznego tego miejsca, co w rezultacie doprowadzi do obniżenia jego wartości historycznej oraz zakłamania prawdy o tym miejscu”.

Stanisław Ociepka

Choć publiczna dyskusja na tak istotne tematy była niezbędna, a wręcz konieczna, to forma jej miała wątpliwy charakter i na pewno splendoru miastu nie przyniosła.

Natomiast już dziś powinno przystąpić się do dyskusji odnoszącej się do planów związanych z przygotowaniem obchodów 100. rocznicy bitwy, jeśli mają mieć one właściwy poziom.





Ze wzgórza jabłonieckiego widoczna była leżąca poniżej Limanowa z budującą się świątynią.

Przemyslenia takie istnieją. Godne są zauważenia. Pojawiają się w limanowskich środowiskach podczas spotkań przy różnych okazjach. Choćby to, które odbyło się w limanowskiej bibliotece z Jerzym Zoniem, dyrektorem krakowskiego teatru „KTO”. Kiedy podczas tego spotkania padło luźne pytanie o możliwości stworzenia przez niego widowiska związanego z bitwą na Jabłońcu, odpowiedź była krótka „Czemu nie, możliwość taka zawsze istnieje”.

No właśnie. Czy nie należałoby więc nad tą niezobowiązującą dziś propozycją poważnie się zastanowić? Zapewne tak przygotowana inscenizacja wydarzenia sprzed 100 laty to ciekawy i godny sposób przypomnienia limanowskiej bitwy, a miasto pozytywnie można by promować w mediach nie tylko lokalnych, ale również i w skali kraju przez emisję widowiska w programie telewizji centralnej.

Tym czasem, 11 grudnia br. obchodząc będziemy 97. rocznicę bitwy na Jabłońcu. W związku z tym na łamach „Echa” przypominamy o tym historycznym wydarzeniu, publikując (po raz pierwszy) list sprzed 96 lat opisujący tamte wydarzenia.

Równocześnie przedstawiamy reportaż fotograficzny zdjęć archiwalnych, na których zostały zarejestrowane obrazy po bitwie oraz pierwotny wygląd cmentarza po jego wykonaniu w 1915 roku.

Walenty Gawron, znany działacz ludowy i społeczno – polityczny, etnograf, pamiętnikarz - syn wieloletniego wójta Starej Wsi Jana Gawrona, który z miejscowymi chłopami prowadził pochówek żołnierzy po bitwie pod Limanową, a z ukrycia przyglądał się temu drugi jego syn, sześćoletni Wincenty, który uciekał z domu, aby ojcu towarzyszyć w pochówku - w liście do siostry Agaty mieszkającej w Chicago, 20 listopada 1915 roku, a więc niespełna rok po bitwie tak pisał:

„U nas na Jabłońcu największa bitwa była od 8 do 11 grudnia 1914 roku. Pamiętny to będzie czas. Mówili, że pierwszy patrol rosyjski przyjechał 25 listopada. Na Jabłońcu Legioniści polscy zabili Moskalom kilka koni, lecz tam padło ich paru i ci są pochowani na cmentarzu w Limanowej.

Bitwa była w miejscu, gdzie Kunowa brzezina i gdzie szewcowe Biedowe i Tokarzowe krzaki. Z naszej strony walczył 9 i 10 pułk huzarów węgierskich. Konie zostawili w Tymbaruku, a sami przyszedli na szturm zamiast piechoty. Tu poległo dwóch pułkowników od huzarów. Ciała ich przewieźli do grobów rodzinnych do Węgiei, lecz na tym miejscu są tablice pamiątkowe. Na Golcowie była także ogromna walka.

Na Jabłońcu Moskale z 3 dni poległych odwozili poza pole bitwy. Było „wyrachowane”, że tylko w 4 dniach bitwy legło 5 tysięcy Moskali i 62 Węgrów. Zaś na Golcowie z ostatniego dnia Moskale mieli wywieźć poza front 85 fur zabitych. Na Jabłońcu są groby. W jednym leży po 200 Moskali. Te groby kopali Węgrzy i okoliczni chłopci. Zakończyli kopać na 19 grudnia. Karabinów Moskale tyle zostawili, że 8 fur ze Słopnic do miasta wozilo przez dwa dni. Zaś do niewoli miano zabrać pod Limanową 30 tysięcy Moskali, których do Tymbaruku odganiali.

Moskale u nas rabowali wszystko, co się dało. Nam zabrali siano i 18 metrów owsa. Gdy przyszła wiosna, nie miał tata czym zasiać.

Również mieliśmy dużo innego kłopotu. Z początku wojny uciekali ludzie ze wschodniej Galicji. U nas było kilku kolejarzy, a po Nowym Roku pojawiło się wielu ewakuowanych od Ciężkowic i zza Grybowa. U nas w domu było także 18 ludzi z landszturmu (pospolite ruszenie). Mama całymi dniami musiała gotować kartofle, a za to nikt nie płacił. Byli rozkwaterowani po wszystkich domach, ale wszędzie im się źle widziało, tylko u nas chcieli być.

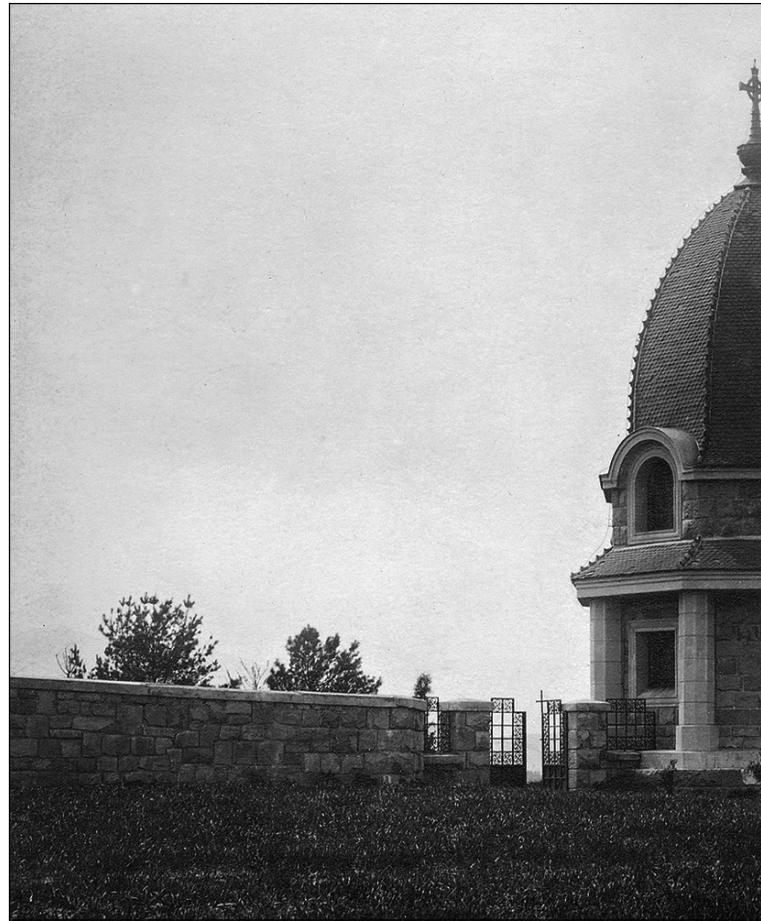
Teraz Ci donoszę, że w czasie wojny od granatu spaliła się chłupa Michała Kądziołki, Mamaczki z Gwizdówki, Odziomka kowala. U Mamaczki na Gwizdówce w stodole spaliła się staruszka babka nadleśniczego dobr



Spalone stajnie w czasie działań wojennych w majątku Marsów.
Obok: Okopy na wzgórzu Jabłoniec.



Brama wejściowa do południowej części cmentarza z I wojny światowej na Jabłońcu. W głębi widoczny obelisk z krzyżem maltańskim na tarasie widokowym w północnej części cmentarza.



Wygląd cmentarza na wzgórzu Jabłonec po jego wybudowaniu wg projektu Gustawa Ludwiga.

► *dzikowskich, która była matką żony Wojciecha Kądziołki, wachmistrza. Zaś Szubryciance granat rosyjski urwał rękę, gdy wpadł do domu Michała Kądziołki. Poznała brak ręki, gdy wybiegła na podwórze. Uszczka z Jabłonca zabili Moskale, gdy szedł do Ciacha (Wojciecha Kądziołki). Soldat rosyjski go haltował. On nie słyszał i go zabił. Na Golcowie spalili się od granatów domy: Antoniego Florka, Jakuba Wojtasa, Walentego Palki.*

Na kościół limanowski, na ten nowy, Moskale strzelali przez 4 dni. Mimo tego nawet jedna dachówka nie była rozbita. Mówili, że Matka Boska Limanowska do fartucha kule zbierała, gdy oni strzelali.

Także spaliły się stodoły Zygmunta Marsa i 40 sztuk bydła, nadto stodoły i dwór księży na Lipowem i w mieście dom Heśline (Helerowej), Hamuszki (Wójcikowej) i żydowski dom koło „Przyjaźni”. Moskale wiedzieli, po co do naszych gór przyszli.

U nas na cmentarzu w Limanowej 1 listopada we Wszystkich Świętych były wieńce i korony na grobach Legionistów polskich i były przemowy, a potem poszła procesja na Jabłonec. Tam była moc ludu. Ksiądz (Kazimierz Łazarski) mówił, lud płakał, a że pogoda sprzyjała, narodu szło się z dalekich okolic.

Na dwa tygodnie przed Wszystkimi Świętymi Moskale rychtowali groby na Jabłońcu. Było ich 40. Jeńcy z Nowego Sącza mieszkali w karczmie na Gwizdówce. Na Jabłońcu wystawili krzyż bardzo wysoki. Tam jeszcze okopy nie są zasypane i zostały na pamiątkę, gdyż Starostwo nie dało zawalać”.

Ten list brata do siostry napisany barwnym językiem sprzed 96 laty, stanowi dokument o wartości historycznej opisujący przebieg stoczonych walk na wzgórzu Jabłonec, pochówku poległych tu w walkach żołnierzy oraz budowy pierwszego cmentarza.

Właściwy cmentarz wykonano jeszcze w czasie trwania wojny. Przystąpiono do tego w 1915 roku po tym jak w wyniku zwycięskiej dla Austriaków bitwy pod Gorlicami wyparto wojska rosyjskie dalej na wschód.

Autorem projektu jest Gustaw Ludwig. Na budowę nie oszczędzono sił i środków, już w zamiarze miał to być cmentarz reprezentacyjny. Miał oddawać ducha wielkich wydarzeń tamtych dni i być wyrazem dziękczynienia wszystkim tam poległym bohaterów. Na wzgórzu usypano ziemną skarpe podbudowaną cokołem z łamanego kamienia. Przez skarpe poprowadzono taras widokowo - spacerowy o długości 128 m, z którego roztacza się szeroka panorama widokowa na całe Pasma Łososiańskie i leżącą poniżej Limanową.

Po jego północnej stronie wybudowano wysoki kamienny obelisk z krzyżem maltańskim (symbolem wiary i niezłomności walczących), który widoczny z daleka, miał wskazywać miejsce usytuowania cmentarza z I wojny światowej na wzgórzu Jabłonec. Obecnie niewidoczny ze względu na zakrzewienie.

Właściwy, ogrodzony kamiennym murem cmentarz znajduje się po południowej stronie tarasu spacerowego. Na cmentarzu wchodzi się dwoma bramami z kutej stali. W środku między bramami znajduje się kaplica – mauzoleum, która została umieszczona w miejscu postawionego tu wcześniej drewnianego krzyża.



Cmentarz ma kształt nieregularnego wieloboku. Na dość stromym stoku znajdują się groby żołnierzy austriackich i rosyjskich. Łącznie jest 31 grobów pojedynczych i 34 zbiorowe. Teren pod nie został starannie wytarasowany. Wzdłuż rzędów nagrobków poprowadzono równoległe ścieżki. Nagrobki żołnierzy austriackich zwieńczone są żeliwnym krzyżem, zaś żołnierzy rosyjskich żeliwnym krzyżem – podwójnym, prawosławnym.

W miejscu, w którym zginął pułkownik Othmar Muhr wykonano pomnik. Zwieńczony jest on kulą, która ma architektonicznie nawiązywać do kaplicy. W dolnej części cmentarza (poza jego murami) znajduje się trójkątny obelisk poświęcony pamięci poległych tutaj honwedów węgierskich.

Większość prac przy budowie cmentarza wykonywali jeńcy włoscy, „kamieniarze”, którzy sprowadzeni zostali do Limanowej przez Oddział Grobów Wojennych przy dowództwie okręgu wojskowego „Galicja Zachodnia”. Ci sami kamieniarze pracowali również przy budowie limanowskiego kościoła – 1916 roku.

Budowa cmentarza prowadzona była pod kierownictwem artystów krakowskich: Henryka Uziembły, Jana Szczepkowskiego i Słowaka Dusana Jurkovića.

Po 30 latach od wybudowania cmentarza z I wojny światowej na Jabłońcu, po północnej stronie trasy spacerowej na tarasie wykonano w 1948 roku cmentarz żołnierzy i partyzantów radzieckich, których zwłoki ekshumowano i przewieziono tutaj z całego powiatu limanowskiego. Pochowano tutaj 236 żołnierzy radzieckich w kilku zbiorowych mogiłach, na których znajdują się typowe dla radzieckich cmentarzy niskie nagrobki z pięcioramienną gwiazdą.

W ten sposób zmodyfikowano oryginalne założenie cmentarza. Kiedy podczas uroczystych obchodów 90. rocznicy bitwy limanowskiej wysokiej rangi przedstawiciel konsulatu rosyjskiego zapytał: „dlaczego widnieje tu inny niż prawosławny krzyż?”, po wyjaśnieniu historii cmentarza stało się dla niego to zrozumiałe.



Obelisk zwieńczony krzyżem maltańskim w północnej części cmentarza jabłowieckiego w latach trzydziestych widoczny był z drogi Limanowa - Nowy Sącz.

Jeszcze jedna modyfikacja nastąpiła w historii tego cmentarza. Kiedy do Polski w roku 2009 przyjechał z wizytą premier Rosji Władimir Putin miał również przybyć na limanowski cmentarz (w rezultacie nie doszło do przyjazdu), wówczas wcześniej zostały umieszczone tutaj dwie informacyjne tablice w językach: polskim i rosyjskim o treści: *W tym miejscu spoczywają prochy 236 rosyjskich żołnierzy i jeńców, którzy zginęli na terytorium powiatu limanowskiego w czasie II wojny światowej. Pokój ich duszom.*

Cmentarz na Jabłońcu zarejestrowany pod numerem 368, został w 1991 roku wpisany na listę zabytków nieruchomych województwa małopolskiego.

Istnieją możliwości uznania tego obiektu jako Pomnika Historii, o co w kontekście zbliżającej się setnej rocznicy wybuchu Wielkiej Wojny i Bitwy Limanowskiej, warto zabiegać. Byłby to szacunek dla pamięci przeszłości, a promocja dla naszego miasta, w granicach którego znajduje się skromna ilość pamiątek historii.

Tekst: Stanisław Ociepka
Fotografie: arch. albumów „Okruchy pamięci”,
Narodowe Archiwum Cyfrowe

List Walentego Gawrona do siostry Agaty z 20 listopada 1915 roku pochodzi z „Rodzinnej księgi pamiątkowej” (maszynopis) opracowanej przez Wincentego Gawrona „nauczyciela”.



Podworski folwark po opuszczeniu przez Państwowy Ośrodek Maszynowy. Lata sześćdziesiąte XX wieku.



Strzelisty, ceglany komin browaru Marsów, dziś konkuruje w krajobrazie Limanowej z masywną, kamienną wieżą kościoła. Lata pięćdziesiąte XX wieku.

Antoni Mamak

Nie niszczyliśmy pamiątek prze

Limanowa, to moje rodzinne miasto. Dumny jestem, że w tym mieście są moje rodzinne korzenie. Szczycę się z dokonań, jakie tu miały miejsce w przeszłości, ogarniam również troską terażniejszy rozwój mojego miasta.

Z sentymentem oglądam albumy „Okruchy pamięci” - tom I, w którym pokazana została Limanowa z początku XX wieku, gdzie na starej fotografii można zobaczyć drewnianą zabudowę limanowskiego rynku oraz romantyczne uliczki pełne uroku i tom II, gdzie tym razem na nowszej fotografii, pokazana została Limanowa po II wojnie światowej, bardziej znana dla większości mieszkańców.

W tym miejscu muszę stanowczo zaprotestować etykietę jaką przyklepia się Limanowej, potocznie mówiąc: „miasteczko galicyjskie”. Limanowa nie jest żadnym galicyjskim miastem, bo prawa miejskie nadał jej polski monarcha Zygmunt August, a nie austriacki zaborca.

Limanowa, jak wiele polskich miast przeżywała swoje wzloty i upadki. Nawiedzały ją wojny i pożary, ale zawsze podnosiła się z tych zniszczeń coraz piękniejsza.

Ostatnia wojna bardzo zniszczyła nasze miasto, ale to czego nie zniszczyły wojenne działania, dokonał czas, a także i sami ludzie, zapominając o obowiązku troski dla pamiątek przeszłości.

Zapewne miasto nasze staje się coraz piękniejsze i nowoczesne, to dobrze. Nie będę więc wymieniał tego, co jest u nas piękne, z czego jesteśmy dumni i czym możemy się pochwalić.

Pragnę zwrócić uwagę na niszczące cenne obiekty, które należy chronić, ratować, by zachować je dla następnych pokoleń. Wiele z nich zostało straconych bezpowrotnie. Przypomnę niektóre. Przed dworem Marsów znajdowały się zabudo-

wania gospodarcze, stodoły, czworak dla służby i piękne murowane zabytkowe stajnie, w których stało bydło zarodowe rasy czerwonej, zaś buhaje zdobywały nagrody na wystawach w Wiedniu.

Po reformie rolnej w latach pięćdziesiątych majątek ten przechodził kolejno, coraz to w inne ręce. Pierwszym użytkownikiem był POM, który zaczął przerabiać dworskie budynki do swoich potrzeb. Jego następcą KFAP, dokończył dzieła zniszczenia. Po odejściu KFAP-u, z tzw. „odlewni”, budynki pozostawione same sobie długo ulegały niszczeniu. Wówczas można było je jeszcze ratować. Jaki spotkał je los wszyscy widzimy. Po sprzedaniu tego terenu prywatnemu właścicielowi, zostały one wyburzone do fundamentów. Przecież można było zachować dworski charakter tego terenu, a w jednym z największych budynków zgro-

madzić na przykład stare karety, powozy, chłopskie wozy drabiniaste, stare młockarnie, wialnie, kieraty i wiele innych narzędzi, którymi posługiwali się na naszych ziemiach rolnicy, nasi ojcowie i dziadkowie.

Kto z młodych ludzi wie, jak wygląda maszyna do młockarni tzw. galasiarka, albo kierat, który współcześnie kojarzy się z całonocną morderczą górską wędrownką. Proszę pojechać do Laskowej i zobaczyć co może zgromadzić w prywatnym skansenie pasjonat szanujący dawną materialną kulturę. A u nas?

Dobrze przynajmniej, że piękny zabytkowy browar Marsów ocalał prawie w niezmienionym kształcie i nadal służy społeczeństwu, choć inne jest jego obecne przeznaczenie. Ocalał również strzelisty ceglany komin dawnej maszynowni pierwszego browaru w kraju produkującego piwo systemem gotowania parą i dziś skutecznie konkuruje w krajobrazie Limanowej z masywną kamienną wieżą kościoła – pomnika, Konstytucji 3-Maja, którego budowę rozpoczął 100 lat temu ks. Kazimierz Łazarski.

Nie wszystko jednak z dawnego browaru zostało zachowane. Od południowej strony głównego budynku, granicząc z parkiem dworu były wielkie sklepione piwnice. Służyły one jako magazyn, gdzie w dębowych beczkach, po kilka tysięcy litrów w każdej, przechowywano piwo za czasów Marsa, a później w latach powojennych, nasze rodzime jabłkowe wina. Piwnice zostały rozebrane.



Budynek pierwszego browaru w kraju produkującego piwo systemem gotowania parą.

Dwór w Mordarce po spaleniu w 1945 roku.

szłości

Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego z ruiny starej winiarni w Mszanie Dolnej udało się uczynić istne „cudo”, a u nas nie potrafi się tego zrobić, załatwiając problem starych budynków „prosto” – burząc je.

W Mordarce był piękny dwór, wprawdzie pałacyk ten został spalony w 1945 roku przez żołnierzy radzieckich, ale jeszcze przez kilka lat po wojnie częściowo zachowane mury wołały o ratunek. Ratunku nie było. Wiadomo, takie były czasy, które szlacheckim dworkom nie sprzyjały, więc ściany i podziemia niszczały. Dziś zostały już tylko fundamenty, które zarosły krzewami i trudno je nawet odszukać.

Pozostał wschodni fragment pałacowej ściany z balkonem wspartym na dwóch

kolumnach zwieńczonych tralkową kamienną balustradą, który pomimo że jest prywatną własnością, może warto odrestaurować, właściciele na to nie stać.

Czas robi swoje, jeżeli nie zadamy o istniejący jeszcze fragment tej budowli, to oglądać będziemy ją tylko na starej fotografii, we wspomnianych albumach „Okruchy pamięci”, tak jak dzisiaj możemy już tylko oglądać zabudowę części przemysłowej rafinerii naftowej w Sowlinach.

No właśnie i tu w zasadzie już tylko można stawiać pytania.

Dlaczego ciekawe budownictwo przemysłowe z początku XX wieku jakim była sowlińska rafineria, wybudowana w 1908 roku przez firmę francuską nie zostało uchronione?

Jej trzy kominy i hale produkcyjne nadawały całości niepowtarzalny charakter przemysłowy, były przykładem wielkości przemysłu naftowego w Polsce południowej.

Co z tego pozostało? Niewiele - kominy zostały wysadzone, a większość budynków produkcyjnych rozebranych.

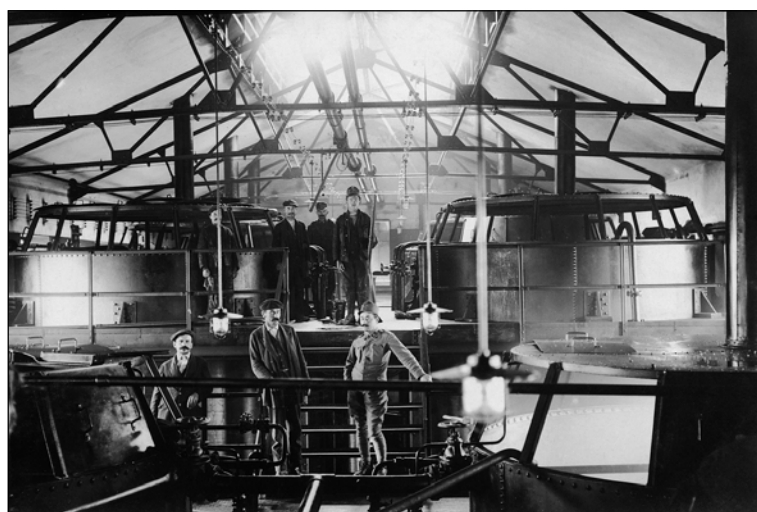
Nie pokuszono się nawet na o to, aby w odpowiednim czasie przynajmniej jeden z najbardziej ciekawych budynków pozostawić, w którym należało zgromadzić istniejącą jeszcze wówczas w bardzo dobrym stanie maszynę, które były dowodem osiągnięć techniki z początku XX wieku i zorganizować tu ciekawe i niepowtarzalne muzeum rozwoju polskiego przemysłu naftowego.

W Szczucinie to uczyniono i w 1982 roku powstało Muzeum Drogownictwa. Zaczęto od małej salki, a dziś jest to skansen historii techniki, jedyny w Polsce.

Wspomnę jeszcze o starej remizie strażackiej przy ulicy Kościuszki. W roku 1929 została ona poświęcona przez ks. Kazimierza Łazarzkiego i oddana do użytku strażaków. Służyła przez wiele lat naszemu społeczeństwu, ratując mienie i życie ludziom. Tej remizy tam już nie ma, została sprzedana. ▶



Panorama sowlińskiej rafinerii - fabryki i kolonii pracowniczej.



W hali produkcyjnej rafinerii w Sowlinach.



Poświęcenie przez ks. Kazimierza Łazarskiego budynku remizy strażackiej - 1929 rok.



Budynek „Bekówki” przy ul. Słonecznej. Wygląd z

► Zamiast strażackich wozów bojowych w pomieszczeniach stoją dziś samochody do kontroli technicznej. Znikła nawet pamiątkowa tablica informacyjna, która przez dziesiątki lat była nad bramami wjazdowymi do remizy.

Chciałoby się zawołać słowami jakie włożył w usta Kuklinowskiego, Henryk Sienkiewicz: Czcigodni ojcowie nie wyście budowali ten przybytek - więc dlaczego? Czy pieniądze są najważniejsze? Szanowni panowie strażacy, proszę pojechać do Alweri, zobaczcie co mają w swojej starej remizie wasi koledzy strażacy, jest tam Muzeum Pożarnictwa założone w 1953 roku.

To co zapewne można jeszcze ratować to dom Beka. Dom, który wybudowany został przez Józefa Beka przy zbiegu ulic Piłsudskiego i Słonecznej, a dziś stoi mocno zaniedbany.

Józef Bek zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach Limanowej. Na początku XX wieku objął stanowisko sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej. Wraz z żoną Bronisławą założył powiatowe koło Towarzystwa Szkół Ludowych, które na terenie powiatu uruchomiło 11 bibliotek, w tym obecną bibliotekę w Limanowej. Propagował nowoczesne sadownictwo i formy gospodarowania, organizował Kółka Rolnicze. Założył pierwszą w kraju spółdzielnię „Kosa”, w której chłopi na przednówku zaopatrywali się w tańszą żywność.

W tym domu bywał na herbatkach u Beków Władysław Orkan i miejscowa inteligencja. Tu w tzw. „Bekówce” dzieciństwo oraz młodzieńcze lata podczas wakacji spędzał przyszły minister spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej, Józef Beck.

W Limanowej Bekowie mieszkali przez 19 lat, pozostawiając dla tego środowiska nieocenionej wartości wkład pracy, czyniąc z miasta jedno z ważniejszych ognisk pracy kulturalnej. Jak za te pionierskie działania, które rodzinę Beków wpisały na stałe w historię naszego kraju, odwdzięczyło się nasze miasto? Czy czasem historia nie omija Limanowej?

W Porębie Wielkiej, gdzie urodził się, mieszkał i tworzył Władysław Orkan, mieści się jego muzeum „Orkanówka”. W Wierzchosławicach, rodzinnej wsi Wincentego Witosa, dwukrotnego premiera II Rzeczypospolitej, gdzie mieszkał i prowadził swoje gospodarstwo, w jego domu zgromadzono liczne pamiątki.

A w Limanowej dom po pionierze samorządności, Józefie Beku niszczeje. Nie takie powinno być tego domu przeznaczenie.

Limanowa szczyli się ważnymi wydarzeniami, które miały tu miejsce, chociażby – bitwa na Jabłońcu oraz wieloma postaciami, które wniosły ogromny wkład w rozwój naszego regionu.

Świadczą o tym tablice wmurowane na wielu budynkach, a także w arkadach ściany północnej naszego kościoła.

Miasto nasze w swej długoletniej historii przeżywało nie tylko zjawiska chwalebne, ale i bolesne. Do tych drugich należy zaliczyć wydarzenia jakie miały miejsce w czasie II wojny światowej.

Przy obecnej ul. Matki Boskiej Bolesnej stoi stylowy budynek, w którym kiedyś mieściło się Towarzystwo Zaliczkowe. W czasie okupacji i w pierwszych latach powojennych budynek ten stał się

ponurym miejscem. W budynku tym więzieni byli i poddawani torturom przez gestapo niewinni ludzie, proceder trwał przez jakiś czas po wojnie i był kontynuowany przez NKWD i UB.

Dzisiaj gdy jesteśmy w tym budynku, powinniśmy zdawać sobie sprawę w jakich murach przebywamy.

Drugim takim tragicznym rejonem był Kamieniec (dziś ul. Kilińskiego), miejsce ostatniego zgrupowania Żydów, mieściło się tu limanowskie getto. Na końcu tego placu pod kamiennym murem, który istnieje do dziś, gestapo rozstrzelało kilkudziesięciu Żydów.

To z tego rejonu miasta w 1942 roku w ostatnią drogę została wypędzonych połowa mieszkańców Limanowej do obozu śmierci w Bełcu.

Wydaje się, że o tych miejscach już nikt nie pamięta.

Nawet nie umieszczono tam tablic informujących o tragicznych wydarzeniach, jakie rozegrały się tu w przeszłości.

Gdyby owe tablice w tych miejscach istniałyby, zapewne pobudziłyby ludzką wyobraźnię, wywołując elementarny szacunek do miejsc ludzkich tragedii.

Na koniec, chciałbym odnieść się do innego pomnika – Obelisku Nieznanego Żołnierza, który znajduje się na skwerku przy ulicy Matki Boskiej Bolesnej, to jego już drugie miejsce. Obelisk ten odsłonięty został w 1930 roku, w setną rocznicę Powstania Listopadowego i stał się symbolem niepodległości.

Dziś wazą się losy tego pomnika, bowiem przy zbiegu ulic Matki Boskiej Bolesnej i Targowej planowane jest rondo



lat sześćdziesiątych XX wieku.



Pałacyk „Pod Pszczółką” - mieściła się w nim Kasa Zaliczkowa. Początek XX wieku.

i przeniesienie wspomnianego obelisku, który w pobliżu się znajduje.

Decyzja jego przeniesienia jest wielkiej wagi, wymaga głębokiego przemyślenia, bez emocji. Pewne jest jedno, powinien stać w godnym i widocznym miejscu zwłaszcza dla przejezdnych.

Pozwolę sobie na moją nic nie znaczącą sugestię. Każde rondo swoim kształtem zbliżone jest do koła, z wolną w środku przestrzenią. Kamienny cokół obelisku ma wymiary około (300 x 100 cm.),

jest więc niewielki, może bez problemu w tym rondzie zmieścić się, a otoczony kwiatowymi rabatami, miałby miejsce zgodne ze swoim przeznaczeniem.

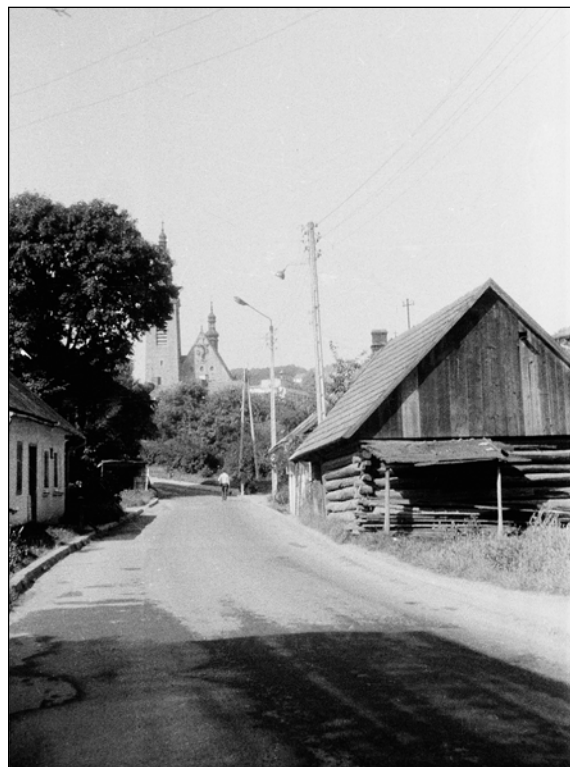
Ludzie i czasy się zmieniają. Przemiany są nieuniknione, ale niech nie odbywają się kosztem narodowego dziedzictwa.

Nasza piękna Limanowska Ziemia stawia na turystykę. Turyści są wymagający, nie wystarczą im piękne nasze krajobrazy Beskidu Wyspowego i Górców oraz czyste powietrze.

Chcą zapewne czegoś więcej, między innymi odszukiwać pamiątek przeszłości, które stanowią historię tej ziemi.

Jeśli u nas tego nie znajdą, opinię wystawią nam nie najlepszą.

**Fotografie: arch. albumów
„Okruchy pamięci”
Narodowe Archiwum Cyfrowe**



Ulica Kilińskiego. W głębi po lewej stronie kamienny mur, przy którym w czasie okupacji rozstrzelano grupę Żydów.



Obelisk nieznanego żołnierza, poświęcony z okazji 100 lecia Powstania Listopadowego. Fotografia z okresu międzywojennego. Pośrodku siedzi marszałek powiatu Zygmunt Mars.

Przechodził przez życie cicho i skromnie, ale efektywnie

Sławek Łużny



Andrzej Beck w latach dzieciństwa i młodości - syn ministra Spraw Zagranicznych II Rzeczypospolitej Józefa Becka.

Synku kochany! Pojęcia nie masz jak się ucieszyłem na wiadomość, że wędrując borem, lasem dotarliście z mamą do dobrych ludzi. Dobrych i mądrych. Wyjechałem z Polski, mając tylko to ze sobą, co zmieściło się w samochodzie. Ale w tem, co mam ze sobą jest także twoja fotografia, na którą patrzę codziennie. Bo zdaje mi się wtedy, że widzę jak rośniesz, mężniejesz mój mały – a równocześnie w świecie załamują się siły zła, a dla nas otwierają się drogi do zwycięstw i pięknej przyszłości. Całuję cię mocno kochany. Twój ojciec.*

Słowa powyższe to fragment listu. Autor: Józef Beck – ostatni szef dyplomacji II RP. Swe lata młodzieńcze i gimnazjalne spędził w Limanowej. Jeden z najbardziej zaufanych (jeśli nie najbardziej) marszałka Józefa Piłsudskiego. Wybrany przez Komendanta na wykonawcę jego koncepcji polityki zagranicznej niepodległej Polski. Adresat listu: syn ministra, Andrzej Beck. Niedawno zmarły w Fairfield w amerykańskim stanie Connecticut. O nim, o jego relacjach i korespondencji z ojcem, o konotacjach Andrzeja Becka z Limanową, poniższe kilka zdań.

Andrzej Beck przyszedł na świat 11 września 1926 roku w Warszawie. Jego matką była pierwsza żona ministra Maria Słomińska. Urodziłem się w kilka miesięcy po przewrocie majowym. Tak jak wszyscy legionści, ojciec starał się, żeby marszałek Piłsudski był chrzestnym ojcem jego syna. Chrzestniaków marszałka chyba były setki w Polsce. Sam marszałek nigdy nie przychodził na tę okazję, tylko przysyłał jako swojego reprezentanta pułkownika Wieniawę-Długoszowskiego, późniejszego generała. Ale za to trzymała mnie do chrztu pani marszałkowa*. Gdy Andrzej miał dwa lata rodzice rozwiedli się. Wiele osób pyta się mnie o mego ojca – jakim on był? Ja muszę czasami przyznać się, że do pewnego stopnia go słabo znałem, bo rodzice moi byli rozwiedzeni jak ja miałem dwa lata i właściwie ojca tylko widywałem od czasu do czasu w mieszkaniu mojej babci na ulicy Chopina w Warszawie. Ostatnie wakacje przed wojną – krótkie zresztą, bo ojciec był bardzo zajęty – spędziliśmy w Augustowie na tych pięknych jeziorach, co zawsze uważałem, że to jest chyba najładniejszy zakątek Polski jaki znałem. Ojciec miał motorówkę, takiego

amerykańskiego Cris-Crafta, którą trzymał w oficerskim jacht klubie na Wiśle. Jak ojciec jechał do Augustowa to wtedy ta motorówka była dostarczana tam. Ojciec sterował tą łodzią. Trochę opowiadał swoje doświadczenia z czasów I wojny i z wojny bolszewickiej – bardzo lubiał o tym wspominać, trochę opowiadał o historii tych okolic właśnie, Augustowa*. Po wybuchu II wojny światowej kilkunastolatek z matką opuszcza Polskę i od 1940 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych. Do USA trafia prawdopodobnie via Włochy i Anglia. Świadczyć o tym może korespondencja z ojcem: 1. Tatusiu kochany! Jedyne list, który otrzymaliśmy to był wysłany jeszcze z Kut. Poza tym mamy wiadomości od ciebie, ale bardzo mało. Pisaliśmy do ciebie, ale nie wiem czy te listy doszły. Bardzo chciałbym, żebyśmy mogli ciebie zobaczyć. Chodzę teraz do szkoły francuskiej, która nazywa się L'Ecole Chateaubriand. Rzym poznaję coraz lepiej i jeżdżę po nim autobusami. Całuję tatusia, Andrzej*. 2. Tatusiu kochany! Wyjeżdżamy do Anglii. Ja mam tam zapewnioną szkołę a mamusia posiadę. Smutno nam opuszczać naszych opiekunów, którzy byli dla nas bardzo dobrzy. Jestem zadowolony z tej

angielskiej szkoły. Mam nadzieję do-
 syć szybko nauczyć się angielskiego.
 Niedawno przyjeżdżał tutaj Lulu Lu-
 bieński i wypiliśmy z nim bruderszafta.
 Opowiadał mi dużo o tatusiu. *Całuję
 tatusia bardzo mocno, Andrzej**. Kon-
 takt z ojcem jest jednak z czasem coraz
 bardziej rwany, coraz trudniejszy. Mini-
 ster Beck „przebywa” wtedy na inter-
 nowaniu w Rumunii, które jest efektem
 jego niezgody na podpisanie deklaracji,
 w której rząd polski zrzekłby się wszyst-
 kich swych uprawnień konstytucyjnych,
 politycznych i administracyjnych. W roku
 1940 próbuje nieudanej ucieczki z inter-
 nowania. Latem 1942 roku lekarze dia-
 gnozują u niego gruźlicę, która szybko po-
 stępuje. Boże Narodzenie 1943 roku.
 Andrzej pisze do taty: *Kochany tatusiu!
 Zbliżają się Święta, choć są w tym roku
 bardzo smutne. Śpieszę się tatusiowi
 przesłać najserdeczniejsze życzenia.
 Będę o tatusiu myślał w czasie Świąt.
 Przesyłam tatusiowi też moją fotogra-
 fię, którą zapomniałem włożyć do po-
 przedniego listu. Całuję tatusia, An-
 drzej**. Ojciec jest już wtedy poważnie
 chory. Można chyba przyjąć, że mniej
 więcej wtedy śle do syna list, którego
 fragment napocząyna niniejszy tekst. *Zda-
 lem maturę i akurat w dzień po matu-
 rze przyszedł do mnie dyrektor szkoły
 z gazetą w ręku, z New York Timesem,
 gdzie był artykuł o tym właśnie, że oj-
 ciec umarł w Rumunii. Podobno do
 trumny włożyli moje zdjęcie i fotogra-
 fię marszałka**. Minister Józef Beck -
 „kochany Beck”, jak często zwracał się
 do niego Komendant - dokonał żywota
 5 czerwca 1944 roku w rumuńskiej wsi
 Stănești w „ulepionej z gliny dwuizbowej

szkole wiejskiej”. *I pochowajcie mnie
 twarzą ku Polsce* – powiedział w ostat-
 nich słowach ostatniej rozmowy do swe-
 go sekretarza Pawła Starzeńskiego.

*Jeżeli próbuję ojca scharaktery-
 zować, to bym powiedział, że na ze-
 wnątrz właściwie był bardzo spokoj-
 ny. Ale mam wrażenie, że wewnątrz
 musiał być bardzo nerwowy, bo jed-
 nak bardzo dużo palił i mam wrażenie,
 że to wskazywało do pewnego
 stopnia nerwy: właściwie prawie że
 zapalał jednego papierosa od drugie-
 go, więc tych paczek papierosów za-
 wsze dużo leżało koło niego. Jak by-
 łem z nim w Augustowie przed wojną,
 to ja starałem się, żeby ojciec przestał
 palić, więc jak tylko mogłem to wy-
 rzucałem te pudełka papierosów przez
 okno. A po pewnym czasie zauważy-
 łem, że ktoś stoi pod tym oknem i zbiera
 te papierosy (śmiech)*.*

W roku w którym umiera ojciec
 Andrzeja, ten rozpoczyna służbę w Pol-
 skich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.
 Kontynuuje ją do roku 1946. *Czasami
 pytają się mnie, dlaczego będąc w Sta-
 nach Zjednoczonych nie wstąpiłem do
 armii amerykańskiej? Dlatego, że to
 do pewnego stopnia była tradycja
 rodzinna: mój pradziad po stronie
 mojej matki był powstańcem z '63
 roku. Ojciec służył w Legionach Pił-
 sudskiego. Trzej bracia mojej matki
 brali udział w wojnie bolszewickiej
 '20 roku. Więc po prostu tym razem
 była moja kolej w czasie II wojny
 światowej, że ktoś z rodziny musiał*

*brać w tym udział. Wstąpiłem na ochot-
 nika do armii polskiej i przez Kanadę
 pojechałem do Szkocji, żeby służyć
 pod koniec wojny już w armii pol-
 skiej**. Po wojnie Andrzej Beck wrócił
 do USA. Ukończył studia inżynierskie na
 Rutgers University w New Jersey. Pra-
 cował w wielu firmach zajmujących się
 budową maszyn. W 1983 roku założył
 własną spółkę Eastport Trading Co. Po-
 ślubił Ewę Jędrzejewicz, córkę przedwo-
 jennego ministra edukacji Wacława Ję-
 drzejewicza, który później powołał Insty-
 tut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jor-
 ku. Był działaczem wielu organizacji po-
 lonijnych w tym Kongresu Polsko-Ame-
 rykańskiego i Północnoamerykańskiego
 Centrum Badawczego Spraw Politycz-
 nych. Był także członkiem Rady Dorad-
 czej ds. Programu Polskich Studiów
 w Central Connecticut State University.
 W międzyczasie oczywiście podjął dzia-
 łania mające na celu sprowadzenie pro-
 chów taty do kraju. Możliwe to było do-
 piero w wolnej Polsce. Rzeczpospolita
 Ludowa jego ojca odsądzała od czci.
 W PRL-u za swą politykę był określany
 mefistofešem europejskiej demokracji,
 zdrajcą, pogrobowcem Targowicy, instru-
 mentem w rękach Berlina. *W 1991 roku
 zacząłem starania o to, żeby prochy ojca
 zostały przeniesione do Warszawy, a jed-
 nocześnie minister spraw zagranicznych
 Skubiszewski wystąpił z tą samą inicja-
 tywą. Minister Skubiszewski zorganizował
 przy pomocy ministerstwa spraw za-
 granicznych pogrzeb ojca na Powązkach.*

(ciąg dalszy na stronie 35)



Józef Beck z synem Andrzejem na wakacjach.





Na śledziowym szlaku – bałtycka odyseja „Trinidad”

Wywiad z Filipem Sułkowskim

Po zeszłorocznym trzytygodniowym żaglowym spływie Wisłą spod Krakowa do ujścia rzeki („Echo Limanowskie” nr 194-195) przyszedł czas na pełnomorską wyprawę „Trinidad”, niewielkiej piętnastostopowej łodzi żaglowo-wiosłowej typu dinghy, wykonanej przez grupę zapaleńców z Krakowa z gotowych szablonów firmy Salmo Boats. Ta „łupinka” z drewna i sklejki, przypominająca laikom raczej szalupę ratunkową z żaglem, wraz z bliźniaczą jednostką „Black Betty” dokonała przejścia Bałtyku w obie strony, z Mrzeżyna via duński Bornholm do brzegów szwedzkich i z powrotem, przepływając łącznie 320 mil morskich (ok. 600 km). Przedstawiamy wywiad z jednym z animatorów i uczestników tego przedsięwzięcia, cieszącego się sporym uznaniem w żeglarskim środowisku, limanowianinem Filipem Sułkowskim.

25 lipca 2011 r. flotyła złożona z „Trinidad” i bliźniaczej „Black Betty” opuściła port w Mrzeżynie, kierując się ku odległemu o około 50 mil morskich Bornholmowi. Łódki miały już za sobą chrzest morski (u wybrzeży Norwegii i na Zatoce Gdańskiej), ale teraz czekał Was sprawdzian na pełnym morzu, z daleka od brzegu. Wiem, że poważnie podeszliście do kwestii bezpieczeństwa - jak wyglądały przygotowania do rejsu?

Od pomysłu do rozpoczęcia rejsu upłynęło około pół roku. W tym czasie mieliśmy sporo pracy nad przygotowaniem łódek i sprzętu do wyprawy. Wiosną przeprowadziliśmy drobne prace szkutnicze

(impregnacja kadłuba, olejowanie drewnianych masztów itp.) oraz musieliśmy zgromadzić też trochę sprzętu. Nasze Salmo to typowe daysailery, tzn. łódki przeznaczone raczej do niedzielnego pływania z rodziną po małych bajorkach. Stąd też nasz nacisk na zapewnienie sobie maksimum bezpieczeństwa. Zazwyczaj tego typu przedsięwzięcia odbywają się w asyście większych, morskich jachtów, które w razie kłopotów mogą przyjść z pomocą. My mogliśmy liczyć tylko na siebie. Nasze łódki były dosłownie wypchane sprzętem i zapasami jedzenia na dwa tygodnie. Oprócz typowego sprzętu ratowniczego zaopatrzeni byliśmy w wypornościowe sztormiaki, które poza unoszeniem

pechowca na wodzie, zapewniają też odrobinę ciepła. Bałtyk jest raczej zimnym morzem, wywrotka, czy przypadkowa kąpiel nie była przez nas pożądana. Ubieraliśmy te kombinezony obowiązkowo ilekroć zapadał zmierzch lub ostrzej wiało. Do nawigacji używaliśmy GPS-ów żeglarskich (drogie cholerstwo) oraz tradycyjnych map morskich, zalaminowanych i przyklejonych do pokładów. Tradycyjnie mieliśmy też busole, a do komunikacji między sobą oraz ze światem używaliśmy ręcznych krótkofalówek.

Dwie dwuosobowe załogi złożone były z młodych wiekiem, ale doświadczonych żeglarzy, mógłbyś pokrótce ich przedstawić?

Średnia wieku oscylowała koło 28 lat. W wyprawie wzięły udział cztery osoby, które wyruszyły na dwóch łódkach. Okretem admirałskim Kompanii Śledziowej była „Black Betty”. Załogę stanowili Aleksander Hanusz, którego mianowaliśmy komandorem eskadry i Maryna Nartowska. Olek wcześniej zajmował się komercyjnym prowadzeniem jachtów po Europie i Karaibach. Drugą najbardziej doświadczoną osobą była Maryna, która, poza prowadzeniem jachtów na Adriatyku, rok wcześniej odbyła miesięczną wyprawę na Grenlandię. Załogę „Trinidad” poza mną stanowił Piotr

„Daniel” Stokłosa, również sternik, z którym przez ostatnie 10 lat razem pływaliśmy po Mazurach.

Do portu Svaneke na Bornholmie dopłynęliśmy po północy, po osiemnastu godzinach rejsu. Trochę się przeciągnął ten pierwszy „skok” ...

Od Kołobrzegu do najbliższego brzegu Bornholmu jest prawie 50 mil morskich (około 90 km), co przy przelotowej prędkości 5 węzłów dawałoby dziesięć godzin podróży. Rzeczywiście po wyjściu z Mrzeżyna przez pierwsze kilka godzin płynęliśmy z tą prędkością, jednak koło południa wiatr zmalował. Zaczęliśmy się wlec z prędkością 2-3 węzłów. Po krótkiej rozmowie (płynęliśmy blisko siebie) Olek zakomenderował włączenie silniczków. Na najniższych obrotach, pod żaglami, prędkość wzrosła. Co ciekawe – nasz 3,5 konny silniczek pożerał niecały litr paliwa na 2,5 godziny, natomiast 2,5 konny silnik Olka na podobnej ilości paliwa pracował aż... 5,5 godziny.

Nie byliśmy zachwyceni, ale nie chcieliśmy ryzykować płynięcia w nocy na pełnym morzu. Drewniano-sklejkowa konstrukcja jest niewidoczna dla radarów statków i kutrów, a wbrew pozorom słuczki na morzu do bardzo rzadkich nie należą.

Bornholm i pobliska wysepka Christianso, sądząc ze zdjęć publikowanych na bieżąco podczas wyprawy na Facebooku, były najatrakcyjniejszą krajoznawczo częścią wyprawy – granitowe klify, zamki, zabytkowa zabudowa, klimatyczne knajpki, syrenki...

Bardzo nam się tam podobało. Bornholm to podobno najbardziej słoneczne miejsce na Bałtyku, czego mieliśmy przyjemność zaznać. Wyspa Christianso, znajdująca się w Archipelagu Ertholeme, jest perełką sama w sobie. Kiedyś twierdza, więzienie, dziś pełni funkcje tylko turystyczne. Na wyspie na stałe mieszka około 100 osób, dla których powstała tam szkoła i poczta. Do niedawna wodę mieszkańcy zdobywali z deszczówki, stosunkowo niedawno uzyskali własne ujęcie. Niemniej tamtejsze ceny mogą przyprawić o palpitacje serca co wrażliwsze osoby. Mając zapas paliwa i jada mogliśmy nieco zaoszczędzić, niemniej horrendalnych opłat portowych często nie dało się uniknąć. Na szczęście niewielkie wymiary i wybór miejsca cumowania (w Hammerhavn staliśmy w wodzie po kolana) pozwalały czasami na dobicie targu.

Z Christianso popłynęliśmy na cypel Hammerodde, gdzie pogoda postanowiła odmienić swoje radosne oblicze. W nocy przyszedł wiatr i deszcz. Ponieważ na naszych Salmo nie ma kabin, spaliliśmy w rozbitych na deku namiotach. Nasz, o wartości kebabu, „pękł” pierwszy i obudziliśmy się w kałuży wody. O ile deszcz mogliśmy jeszcze znieść, to na sztorm byliśmy za mali, więc zadekowaliśmy się w *sejlerhuset*, rodzaju chatki żeglarskiej, która służy jako kuchnia lub świetlica. Przez ten czas suszyliśmy spiewory, ubrania i siebie. Nieostrożnych żeglarzy, którzy tam zaglądali, atakował bukiet stęchlizny i zupek chińskich. Czas nudy przerywaliśmy zwiedzaniem sklepu monopolowo-spożywczego, klifów, zamku Hammershus oraz granitowego kamieniołomu. Ciekawe że Bornholm należy do najbardziej zalesionych obszarów Danii (21% zalesienia w porównaniu do 11% na Półwyspie Jutlandzkim). Północne klify porastają w większości dęby, przypominające pokręcone wiatrem buki bieszczadzkie.

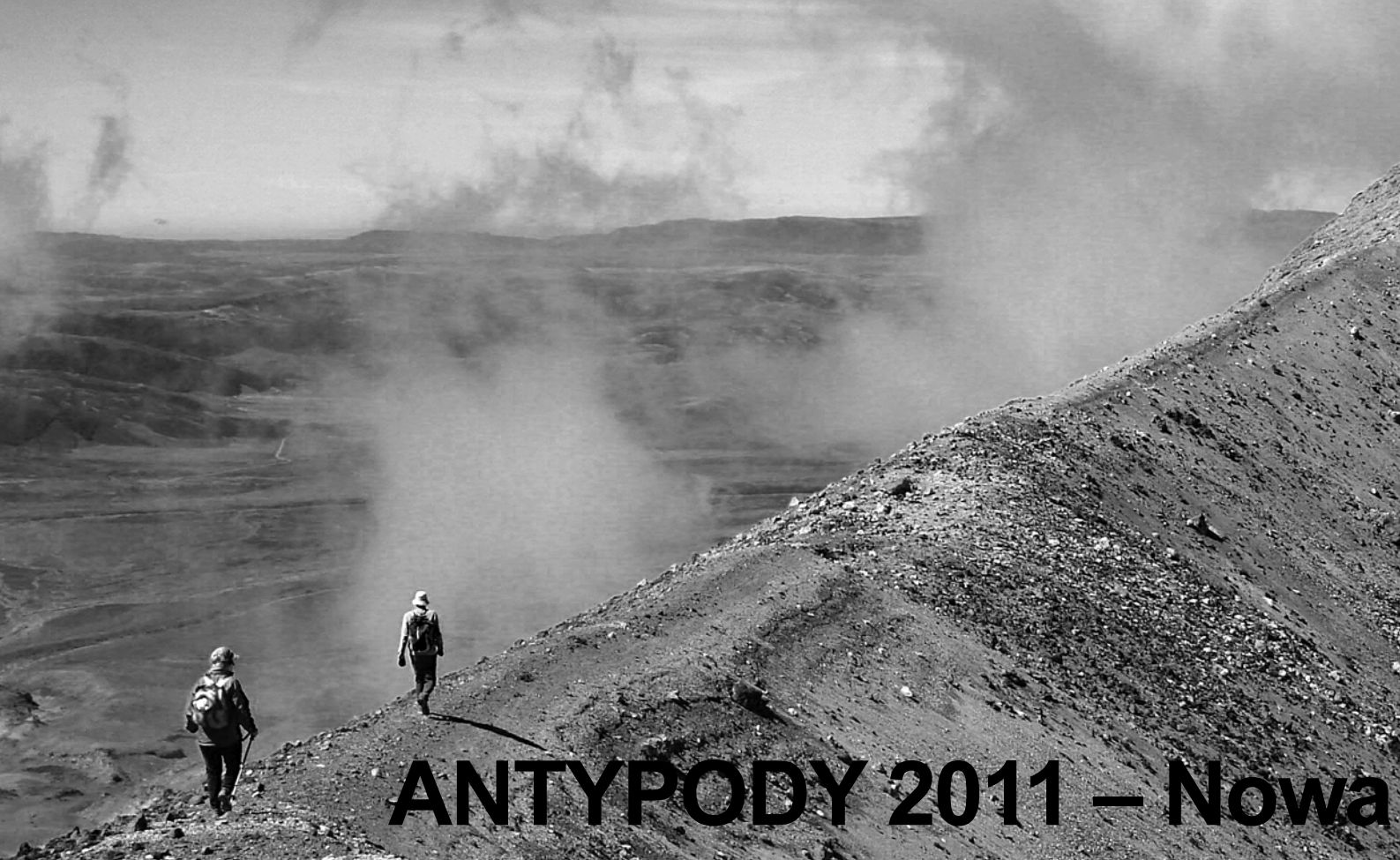
Z cypla Hammerodde na północnym wybrzeżu Bornholmu do Skillinge, najbliższego portu Szwecji jest tylko 20 mil morskich, podobno w nocy widać z latarni morskiej światła szwedzkiego wybrzeża. 30 lipca pogoda poprawiła się na tyle, że mogliście wreszcie przeskoczyć cieśninę i osiągnąć wymarzone szwedzkie brzegi. Zwrotnym punktem rejsu było położone w szwedzkim interiorze słodkowodne i niebywale zarosnięte jezioro Hammarsjön.

Po opuszczeniu Hammerhavn mieliśmy do pokonania tor wodny statków handlowych, co przy widoczności sięgającej kilku mil przypominało przejechanie na trójkołowym rowerku dziecięcym ruchliwej autostrady. Szwecja, a konkretnie port Simirshamn przywitał nas biesiadą godną naszych najlepszych wzorców. W porcie (tym razem stanęliśmy wśród łodzi wędkarskich) zdołaliśmy wypić butelkę wina musującego i przy dźwiękach szwedzkiego disco poszliśmy spać. Jeśli chodzi o spędzanie wolnego czasu, to Skania jest ostatnim kręgiem piekieł. Jest tam tak grzecznie i ślicznie, że można oszaleć. Pogoda wstrzymała nas do południa zanim wyruszyliśmy wzdłuż brzegu na północ. Przed zachodem dotarliśmy do ujścia rzeki Helgean

mającej doprowadzić nas do Kristianstadt. Zrzucenie żagli i położenie masztów na Salmo trwa chwilę, więc od razu na silniczkach popykaliśmy do góry. Rzeczkę przecinają niezwykle niskie mostki, pod którymi nie tylko morskie, ale nawet śródlądowe jachty mogłyby nie przejść. Po czterech godzinach dotarliśmy do jeziora Hammarsjön. I tu zaczęły się problemy. Ponieważ rzadko kto tam pływa, szlak jest prawie nieoznaczony. Dodatkowo w amoku przygotowań nikt nie wpadł na pomysł zabrania jakichkolwiek map lub atlasu szwedzkiego interioru. Nasze mapy morskie kończyły się na wybrzeżu, zaś GPS pokazywał okolicę jako zbiór rombów (wedle niego nasze łodzie płynęły po jakimś pastwisku). W zupełnych ciemnościach łodzie od razu zapragnęły wkopać się w niezwykle bujną roślinność pływającą. Zielsko wkręcało się w śruby silników, które przestawały pracować. Po kilku czyszczeniach i powtórnych odpaleniach chwyciliśmy za wiosła i powoli wycofaliśmy się na środek jeziora. W końcu cudem znaleźliśmy niewielkie ujęcie rzeczki, która prowadziła do Kristianstadt. O północy cumowaliśmy już wśród wędkarskiej drobnicy na rzeczce wielkości Dunajca. Prawdopodobnie dotąd w Kristianstadt nigdy nie cumowały „jachty morskie”.

W miasteczku wielkości Bochni wiało nudą, więc spędziliśmy tam czas do popołudnia i uciekliśmy z powrotem do morza. Tego wieczoru spaliliśmy na plaży na południe od ujścia. Wyciągnęliśmy łodzie na brzeg i spaliliśmy w namiotach na piasku. Ognisko było dopełnieniem szczęścia. W przeciwieństwie do bardzo „opiekuńczej” Rzeczpospolitej Królestwo Szwecji pozwala na nocowanie wszędzie pod warunkiem, że czas biwakowania w jednym miejscu nie przekroczy 24 h. Po nocy na piasku zrzuciliśmy łodzie do wody i wzięliśmy kurs do domu. Jednak ledwie postawiliśmy żagle, wiatr zgasł. Morze było gładkie jak lustro, bez najmniejszej falki - nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałem. Sztrandowanie [*ładowanie na plaży – przyp. red.*] i niesamowita flauta [*bezwietrzna aura na morzu – przyp. red.*] to najprzyjemniejsze wspomnienia ze Szwecji.

(ciąg dalszy na stronie 32)



ANTYPODY 2011 – Nowa

Eksploracja jednego z najaktywniejszych wulkanów na Ziemi - Janka i Leszek na krawędzi krateru Mt. Ruapehu.

Od czasu do czasu muszę odpowiedzieć sobie i innym na bardzo proste pytanie: dlaczego podróżuję, wędruję, wyprawiam się? Dla wszystkich odpowiedź jest jedna: bo jestem ciekawy świata, bo interesują mnie inni ludzie, których spotykam podczas wypraw, i w końcu, bo jestem ciekawy swoich reakcji w tych, często egzotycznych, krajach oraz trudnych warunkach. Dla młodszych czytelników „EL” warto dodać (dla dojrzałych 40+ jest to oczywiste) – moje podróże to odrabianie zaległości. A odrabia je wielu. W okresie, kiedy powinno się szczególnie dużo podróżować, tj. w wieku szkolnym i podczas studiów, moje, a także nasze polskie możliwości podróżowania po świecie były niewielkie. Wędrowka w pasie konwencji turystycznej w Czechosłowacji to już była zagraniczna wycieczka. W latach 70. ubiegłego stulecia przyszła kolej na Węgry (Budapeszt i Balaton), Rumunię (Morze Czarne) i Bułgarię (z pięknymi górami Witosza i Rila). A kiedy świat zaczął się dla nas otwierać, dorastały dzieci, z którymi zwiedzaliśmy Polskę „wzdłuż i wszerz”. Po ostatnich podróżach afrykańsko-południowoamerykańskich ¹² przyszedł w końcu czas na antypody. Bo świat, także od tej drugiej strony, powinno się poznać.

Do Nowej Zelandii i Australii wyprawilem się z doświadczonym w podróżach zespołem 7 współtowarzyszek i 7 współtowarzyszy. W piątek, 4 marca 2011 r. wczesnym rankiem wsiadamy do samolotu lecącego do Amsterdamu. Naszym celem jest Auckland, główny port lotniczy Nowej Zelandii. Po pokonaniu dystansu około 21 tysięcy kilometrów, lecąc z Polski na antypody przez Hongkong, jesteśmy w niedzielę rano w Nowej Zelandii, która ugości nas zielonymi płaskowyżami, tropikalnymi lasami, piaszczystymi plażami, szmaragdowymi jezio-

rami, gejzerami, gorącymi błotnymi źródłami, jaskiniami, wulkanami i lodowcami ³⁴. Oj, będzie się działo...

W poniedziałek, 7 marca br., ruszamy w trasę objazdową północnym wybrzeżem Wyspy Północnej, należącej do nowozelandzkiego archipelagu położonego w południowo-zachodniej części Oceanu Spokojnego. Musimy szybko przestać się na lewostronny ruch samochodowy. Mając do dyspozycji trzy wynajęte samochody, w ruchu lewostronnym gubi-

Andrzej Kulig

my się również bardzo szybko. Na półwyspie Coromandel zwiedzanie zaczynaemy od obejrzenia XIX-wiecznej kopalni złota, położonej w niewielkiej miejscowości Thames. Następnie planujemy objechać najciekawsze miejsca, w tym malownicze klify i niezwykle ukształtowaną przez wodę Cathedral Cove. Kolejny punkt na półwyspie to cieplice - Hot Water Beach, gdzie można się kąpać, dokopywać do gorącej wody i opalać. Tutaj, leniwie wygrzewając się na plaży, odnajdują się wszystkie trzy załogi. Po obejrzeniu dziwnie zachowujących się ludzi, kłębiących się w jednym niewielkim miejscu i kopiących dolki w piasku (łopatę można pożyczyć lub kupić na plaży), ruszamy w dalszą drogę. Czeką nas dość długa, już wspólna, jazda na południe Wyspy Północnej, do miasta Rotorua. Podczas całej wyprawy noclegi zabezpiecza nam sieć wygodnych hosteli Youth Hostel Association (YHA). Dużą ich zaletą jest atrakcyjna lokalizacja. Jest to rozwiązanie godne polecenia dla trampów. Do hostelu przyjeżdżamy bardzo późno, po 22⁰⁰. Szybko robimy herbatę i po krótkim odpoczynku idziemy spać.

PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE



Zelandia cz. I



Sprawdzona drużyna w kraterze Centralnym - na tle Jeziora Szmaragdowego (autor z prawej).

Na wtorek mamy dość ambitny program pod hasłem: ekshalacje wulkaniczne – wrzące fumarole, umiarkowane gorące solfatary i chłodne mofety wokół Rotorui. Rano zwiedzamy Hell's Gate – pola geotermalne z oparami siarki i fumarolami. Wielka Nowa Zelandia jest prawie taka jak około 2,5 razy mniejsza Islandia, którą miałem okazję podziwiać pięć lat temu, ze wszystkimi barwami i urokami interioru⁵. Ale i na Nowej Zelandii te geologiczne zjawiska są interesujące. Tutaj wszędobylskie opary siarki z fumaroli siarkowych i pary wodnej unoszą się w bardzo dobrze zagospodarowanym otoczeniu. Ścieżki spacerowe poprowadzone są pomiędzy małymi erupcjami gazów i par oraz gotującymi się sadzawkami błotnymi. Na Islandii towarzyszy im zdecydowanie bardziej naturalna sceneria wulkanicznego interioru. Prześiąknięci wyziewami jedziemy do południowego obszaru geotermicznego, gdzie położona jest wulkaniczna dolina Waimangu (polecam galerię <http://obiezyswiat.org/index.php?gallery=14662>), aby na 12-kilometrowej trasie oglądać m.in. wielobarwne tarasy i bladoniebieskie jezioro kraterowe Inferno. Wędrówka zajmuje nam kilka godzin. Około 17⁰⁰ schodzimy na parking i wracamy do hostelu. Po lunchu idziemy na zakupy, a wieczorem do popularnego Polynesian Spa na kąpiele w basenach z siarczkową wodą.

Wody geotermalne są tu wykorzystane do wypełnienia 7 basenów. Zmęczeni i odurzeni wracamy do hostelu na lampkę dobrego wina. Warunki w hostelu są bardzo dobre. Przestronne pokoje, dobrze wyposażona kuchnia. Ekipa, w składzie której są m.in. uczestnicy wspólnych wypraw do Argentyny⁶ i Maroka⁷, zaczyna powoli funkcjonować sprawnie jako zespół.

W szóstym dniu podróży pobudka o godz. 7⁰⁰, następnie śniadanie i pakowanie pojazdów. Ruszamy do Te Puia – pola gejzerów, fumaroli i wioski Maorysów, najstarszych mieszkańców tego wyspiarskiego kraju. Po dwugodzinnym spacerze jedziemy na południe Wyspy Północnej. Po drodze, przed miastem Taupo, położonym na brzegu największego, niewysychającego jeziora Oceanii o tej samej nazwie, oglądamy na rzece Waikato wodospady Huka. Jesteśmy na interesującym płaskowyżu wulkanicznym, na wysokości 350 m n.p.m. Pozostaje nam jeszcze zrobić zakupy na dwa dni w wulkanicznych górach, zatkanować benzynę i kierujemy się do National Park Village, gdzie docieramy około godziny 16⁰⁰. Po krótkich poszukiwaniach trafiamy do Ski Haus. Rozpakowujemy się w pokojach i w kuchni - czas na szybką zupę, a po niej spacer, później notatki, internet. Można wcześniej położyć się spać i śnić – przed nami trekkingowe delikacje: Tongariro Alpine Crossing i Mt. Ruapehu.

W czwartek, 10 marca, pobudka już o 5³⁰ i około siódmej wyruszamy na całonocny trekking. Po godzinie jazdy samo-

chodem jesteśmy przed bramą najstarszego parku narodowego Nowej Zelandii - Tongariro National Park (założonego w 1887 roku i wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO). Auto pozostawiamy na parking, ok. 800 m n.p.m. Na słynny trawers Tongariro, prowadzący przez wulkany, jeziora kraterowe, wysokogórską wulkaniczną pustynię, lasy i cieplice, startujemy nietypowo z Ketetahi, idąc od końca szlaku „pod prąd” po to, aby spotkać się z drugą częścią naszej grupy, która z kolei zostawiła „swoje” auto na parking na początku szlaku. Wiadomo, o co chodzi - musimy pamiętać, aby na szlaku wymienić się kluczami do aut. Wchodzimy do gęstego lasu. Trasa bardzo dobrze przygotowana, mimo to przypomina mi się początek trekkingu w masywie Kilimandżaro⁸. Drzewa dają cień, więc idziemy dość szybko i nabieramy wysokości. Z tej strony szlaku mamy do pokonania dodatkowe 300 metrów przewyższenia. Po około dwóch godzinach wędrówki wychodzimy z lasu i naszym celem staje się drewniana chata jako miejsce do krótkiego odpoczynku (1450 m n.p.m.). Teraz słońce grzeje już dość mocno, ale to lepiej, niż miałoby padać. Dalej wspinamy się do pierwszego rozległego Jeziora Błękitnego, przy którym robimy dłuższy postój. Otoczenie staje się niezwykle księżycowe. Najpierw krawędzią, a następnie przez pustynne dno krateru Centralnego podchodzimy do Jezior Szmaragdowych – są to trzy wypełnione wodą krateru o wspaniałym zielonym kolorze, ►

którym barwę nadają wylugowane ze skał minerały. Podchodzenie ruchomym piarżyskiem jest bardzo mozolne, bo trzeba pokonać osuwający się pod stopami żwir. Ale dla nadchodzących z przeciwka wędrowców schodzenie nie jest łatwiejsze. Niektórzy wręcz „zjeżdżają” na pupach, wiedząc lub czując, że jest to miejsce najczęstszych wypadków na tym szlaku. Wszystko wskazuje jednak, że warto pokonać to ryzyko. Naszym oczom ukazuje się Red Crater (1886 m n.p.m.), który jest ogromnym lejem w ziemi, o różnorodnych, fantastycznych kształtach, wyróżniającym się czerwono-czarnym kolorem. W powietrzu unosi się zapach siarki, który wzbudza respekt i uświadamia, że jest to wędrowka wśród czynnych wulkanów. Następny z nich to strzelający w niebo, czarny Mt. Ngauruhoe (2287 m n.p.m.), jedna ze świętych gór Maorysów. Pierwsza myśl: czy można tam wejść. Leszek, patrząc w oczy, kusi, spróbujmy. Ostatecznie, po krótkim spotkaniu z towarzyszami wędrującymi „z prądem” (tutaj wymieniamy kluczyki do aut), słuchając głosu rozsądku, ruszam z Leszkiem potrzaskaną granią wulkanu - na szczyt Tongariro (1967 m n.p.m.), z którego podziwiamy tolkienowską Górę Przeznaczenia - wulkan, który został sfilmowany podczas kręcenia filmu „Władca Pierścieni”. Zachwycające panoramy. Przejście zajmuje nam godzinę. Około 14⁰⁰ zaczynamy schodzić – praktycznie już cały czas w dół. Najpierw jest dość stromo po jeziorach zastygłej lawy i między ogromnymi głazami, do krateru południowego i miejsca zwanego Soda Springs, gdzie teren się wyrównuje, i dalej już łagodnie, wzdłuż potoku, głównie po długich pomostach pokrytych działającą antypoślizgowo siatką. Dodam, że szlak jest bardzo dobrze oznaczony i utrzymany, a barwne tablice, informujące o możliwych zagrożeniach, głównie ze strony czynnego wulkanu, i zalecanym zachowaniu wędrowców, są bardzo obrazowe. W Mangatepopo, czekając na Jankę, która wybrała jednak drogę przez Mt. Ngauruhoe, leżę sobie przed bramą parku na drewnianym pomoście nie tylko zadowolony, ale i szczęśliwy, że wszystkie moje troski zostały po drugiej stronie Ziemi. Niestety, dotyczy to także moich radości. Z filozoficznego letargu wytrąca mnie Janka, usatysfakcjonowana zajrzeniem w czeluść tolkienowskiego Mount Doom. Kończymy licząc około 23 kilometry wspinała wędrowkę i stopem wracamy do Ski Haus. Trud całodziennego trekkingu jest hojnie wynagrodzony niezwykłymi krajobrazami i niezapomnianymi widokami.

Na piątek mamy w programie wejście na najwyższy czynny wulkan na Wyspie Północnej - Mt. Ruapehu (2797 m n.p.m.). Wyjeżdżamy bez pośpiechu tuż po godzinie ósmej, aby o 9⁰⁰ usiąść na krzeselkach kolejki linowej. Jesteśmy w dużej stacji narciarskiej, ale na początku jesieni w regionie pokrytym pięknymi wrzosowiskami jest spokojnie i dość pusto. Rano towarzyszy nam gęsta mgła. Co się z niej wyłoni? Z przesiadką wjeżdżamy na wysokość 1762 m n.p.m. i jako nieliczni wędrowcy idziemy wzdłuż nieczynnego wyciągu orczykowego. Szlaki piesze są bardzo słabo zaznaczone. Wszystko wskazuje na to, że w końcu zgubiliśmy szlak, bo podejście po zboczach stożka wulkanicznego, a zwłaszcza trawers pod krawędzią wulkanu, są dość mozolne. W pełnym słońcu osiągamy cel wędrowki i efekt – rozległą panoramę z widokiem na Mt. Ngauruhoe. Będąc już na krawędzi wulkanu, po krótkim odpoczynku, wędrujemy do drewnianej chatki, gdzie rozdzielamy się na powracających najkrótszym szlakiem i „penetrujących” wulkan. Z Janką i Leszkiem wchodzimy jeszcze na wulkaniczny nawis nad niewielkim jeziorem, do którego wpadają odłamki jednego z jeziorów lodowca. Nad błękitną taflą jeziora unosi się obłok pary, wskazujący na podwyższoną temperaturę wody. Nietypowa sceneria towarzyszy mi także podczas schodzenia. Janka popędziła śladem pierwszej grupy, a ja schodzę wąskim piarżystym zlebem po resztkach cofającego się lodowca. Ciekawym, ale trudnym i, z uwagi na szczeliny, niebezpiecznym terenem udaje mi się w końcu szczęśliwie dojść do górnej stacji kolejki, którą około 15⁰⁰ zjeżdżam na parking. Część zespołu jest już po zakupach pamiątek, popołudniowej kawie, a Zosia, która podczas schodzenia doznała kontuzji ręki, została wstępnie opatrzona. Możemy więc wracać do Ski Haus.

Zbliża się kres naszego 9-dniowego pobytu w Nowej Zelandii. Na koniec mamy „kłopot” z wyborem programu na finał. Ostatecznie „wisienką na nowozelandzkim torcie” ma być rafting podziemną rzeką w jaskiniach Waitomo. Z uwagi na problemy z rezerwacją biletów w trybie „last minute” możemy się dobrze wypaść. Bez pośpiechu schodzimy na śniadanie, pakujemy bagaże i kierujemy się na północ wyspy, do Otorohanga Kiwi House. W tym przypadku chodzi oczywiście o park z kilkoma gatunkami nielotnych ptaków lądowych, zamieszkujących wyłącznie Nową Zelandię i będących jej symbolem, a nie owocami aktinidii chińskiej (agrestu chińskiego), które plantatorzy z tego kraju nazwali kiwi.

Oprócz ptaków kiwi w parku mamy okazję zobaczyć przedstawicieli różnych innych ptasich endemitów oraz ryb, płazów i gadów.

Czas zaczyna być dla nas coraz bardziej cenny. Jedziemy więc do Waitomo Caves – co znaczy „wodna jaskinia”. W stacji przygotowawczej otrzymujemy pełny strój (kombinezon z pianki neoprenowej, gumowce oraz kaski) i idziemy do szczeliny w ziemi - wejścia do jednej z jaskiń. Na trasie podziemnej eksploracji czeka nas szereg niespodzianek: bardzo wąskie szczeliny, głęboka woda, przejście niskimi podtopionymi korytarzami i na koniec spływ podziemną rzeką na dętkach. Nad naszymi głowami tysiące świetlików. Po czterech godzinach opuszczamy królestwo Hadesa i ruszamy do Mangere, nowozelandzkiego Okęcia, gdzie po przyjeździe oddajemy samochody i udajemy się do hali odlotów. Pora opuszczać tę odległą, ale gościnną, niezwykle piękną i różnorodną Wyspę Północną.

Niedziela 13 marca 2011 r. zapowiada się jako długi dzień. O północy jesteśmy już na lotnisku i pozostaje nam oczekiwać na wczesnoporanny samolot do Sydney. Okazuje się, że z uwagi na jesienną zmianę czasu czekamy o godzinę dłużej. Bez specjalnych emocji odprawiamy się i po niecałych 3 godzinach lotu Airbusem 340-300 lądujemy w Sydney. Jesteśmy w Australii.

Andrzej Kulig

**Fotografie ze zbioru
Andrzeja Kuliga
Warszawa, wrzesień 2011 r.**
cdn.

Część II – **ANTYPODY 2011 – Australia**
w następnym numerze

¹ Kulig A. (2009): *Różne uroki Afryki w jednej wyprawie. Nil - Ruwenzori - Safari*. EL nr 172-173, r. XVII, s. 26-29.

² Kulig A. (2010): *Peru na sportowo. Do kanionu Colca*. EL nr 188-189, r. XVIII, s. 28-31, 35.

³ Turner P. (2010): *Nowa Zelandia. Przewodnik National Geographic*. Wydawnictwo G + J RBA. Warszawa.

⁴ Wasilewski M. (2011): *Na Księżycu u hobbitów. Traveler*. National Geographic. Nr 6 (44), s. 52-58.

⁵ Kulig A. (2006): *Wyprawa na Islandię po jej uroki i barwy interioru*. EL nr 145-146, r. XIV, s. 28-29 i 32-33.

⁶ Kulig A. (2007): *Z Beskidu Wyspowego w Andy. Smak życia*. EL nr 151, r. XV, s. 24-27 i 31.

⁷ Kulig A. (2011): *Maroko 2010 - Sahara*. EL nr 196-197, r. XIX, s. 32-33 i 36-37.

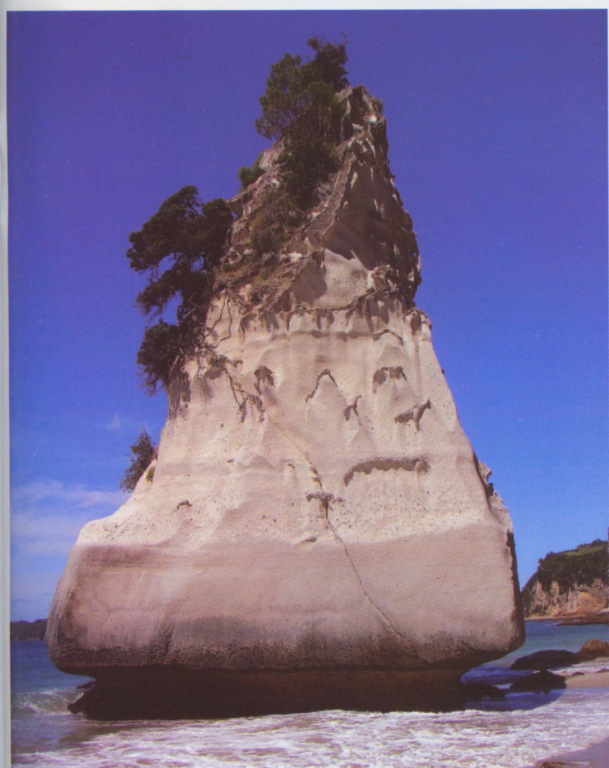
⁸ Kulig A. (2006): *Życie wędrowką jest. Rozważania w drodze przez masyw Kilimandżaro*. EL nr 136-137, r. XIV, s. 1-7.



Powyżej: Red Crater w cieniu dostojnego Mt. Ngauruhoe – drzemiące wulkany obchodzimy ostrożnie z prawej strony.
U góry: Zielona Nowa Zelandia (gdzie ziemia też się osuwa) - pejzaż półwyspu Coromandel na Wyspie Północnej.



Ruapehu w języku maoryskim znaczy „Wybuchające Jezioro” - jezioro lodowca wpadające do parującego jeziora kraterowego



Skąła, że ho ho (Hoho Rock) - na wyrzeźbionym wodami Pacyfiku brzegu niewielkiej zatoczki Cathedral Cove położonej na wschodnim krańcu półwyspu Coromandel.



Gejzery, gorące błota, wrzące źródła i inne geotermalne atrakcje na terenie parku Te Puia w mieście Rotorua.



(ciąg dalszy ze strony 27)

Dopiero w czasie powrotnej podróży zażyliście „pełną gębą” żeglarskich przyjemności, trochę zdaje się huśtało?

Było ostro. Prognozy zapowiadały silny wiatr, który miał w następnych dniach wzrastać. Skończyły nam się zapasy i korony duńskie (najbliższy bankomat był w Ronne, stolicy Bornholmu). Poza tym część z nas musiała wracać do pracy. Wyruszyliśmy świtem, mając nadzieję uciec przed silnym wiatrem na południe Bałtyku, gdzie miało być spokojniej. Do dwunastej nie działo się nic, czego byśmy nie doświadczyli wcześniej. Fala się wznosiła, ale w łodziach było sucho. Po południu rozwiało się, więc zrefowaliśmy żagle. Koło piętnastej wiatromierz wskazywał 5,5 stopnia w skali Beauforta (prędkość wiatru około 40 km/h). Jachty morskie przy takiej pogodzie zaczynają pływać, my byliśmy na granicy pływalności. Fale w porywach sięgały do 2 metrów, co dla łódki o wysokości wolnej burty 40 cm stanowi pewne wyzwanie. Z chwilą kiedy taka fala nadchodziła musieliśmy ustawiać łódzie dziobem, bądź rufą do nich – inaczej łódź mogłaby się wywrócić lub nabrać wody. Kolejnym problemem była wlewająca się przez dziób do środka woda. Średnio co piętnaście minut trzeba było wybierać wodę, która przelewała się przez gretingi (podłogi). Wszystko było mokre na wylot.



Uczestnicy rejsu - od lewej: Aleksander Hanusz, Maryna Nartowska, Filip Sułkowski (leży), Piotr "Daniel" Stokłosa.

Dodatkowo co jakiś czas dostawaliśmy w twarz wiaderem wody. Myślę, że był to dla nas jeden z przyjemniejszych dni na tej wycieczce.

Łódki typu Salmo15-S lugger z uwagi na swoje rozmiary i ładowność do komfortowych jachtów nie należą, wasza dwunastodniowa wyprawa zbliżyła się chyba do granicy racjonalnego pływania bez wsparcia?

To zależy czego się od łodzi oczekuje. Przed wyprawą wiele osób pukało się w głowy, inni serdecznie się z nami żegnali. Kilku podsuwało życzyliwie pomysł spisania aktu ostatniej woli.

Fakt samodzielnego zbudowania naszych jachtów też nie wzbudzał w ludziach zaufania. Jak już wspomniałem, nasze Salmo to raczej daysailery, czyli lekkie łódzie ze sklejkowym mieczem zamiast solidnego kilu, na których rzadko pływa się poza jeziorami lub wewnętrznymi wodami morskimi. W czasie rejsu jedna osoba musiała siedzieć bliżej dziobu, aby zapewnić łodzi właściwości żeglugowe. Wymiana przy sterze, zwłaszcza przy silniejszym wietrze wymagała zachowania ostrożności i pewnych zdolności gimnastycznych. Poza tym to łódzie dzielne, a choć idące trochę topornie na wiatr (ożaglowanie



lugrowe nie jest ostatnim krzykiem mody), to stabilnie żeglujące. Dzięki klasycznej konstrukcji kadłuba są bardzo suche i woda rzadko bryzga do środka, co przy rejsach turystycznych ma duże znaczenie.

Co do wsparcia faktem jest, że w razie kłopotów mogliśmy liczyć tylko na siebie. Nasze ręczne ukaefki miały teoretycznie zasięg kilkunastu mil, ale fakt używania ich tuż nad poziomem morza raczej drastycznie ten zasięg zmniejszył. Dlatego staraliśmy się zachować maksimum bezpieczeństwa, płynąc tylko przy pewnych prognozach i posuwać się od lądu do lądu metodą „żabich skoków”. Poza tymi irytującymi niedogodnościami mała łódka pozwalała na przyjemności niedostępne większym jachtom, jak np. sztrandowanie, czy wpływanie w rzeki. A przy grubości sklejkowego kadłuba 8 mm jest się dosłownie blisko morza.

Zapytam w takim razie – choć może nie powinienem prowokować – czym zaskoczycie miłośników cudzych przygód w przyszłym roku?

Jeśli się uda, przyszłoroczna wyprawa będzie dużo bardziej ciekawa. Na północy będziemy szukać wielorybów. Na razie szukamy sponsorów, nie chcę zapeszyć.

Dziękuję za rozmowę.

*Wywiad przeprowadził:
Bartłomiej Sułkowski*

**Zdjęcia: Aleksander Hanusz,
Maryna Nartowska,
Filip Sułkowski**





WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE



KAMIENIOŁOM MĘCINA

Sprzedaż kruszyw Męcina

Oferuje:

- tłużeń
- kliniec
- kamień łamany
- kamień ogrodowy

tel. 18 332 74 20

fax 18 332 74 44

kom. 661 330 797



ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH W CHARZEWICACH

Sprzedaż kruszyw Charzewice

32-840 Zakliczyn

tel. 14 66 59 193

tel. 14 66 59 194

fax. 14 66 59 158

Oferuje:

- grysy
- piaski
- mieszanki



ZAKŁAD WYROBÓW BETONOWYCH

**Sprzedaż mas
i wyrobów betonowych**

ul. Tarnowska 33

34-600 Limanowa

tel. 18 337 68 62

fax. 18 337 61 59

Oferuje:

- masy betonowe
- kręgi, rury, krawężniki
- korytka ściekowe
- kostka betonowa, obrzeża
- płyty drogowe, płyty Jomb



Główna siedziba firmy: ul. Tarnowska 33, 34-600 Limanowa, tel. 18 337 61 00, fax. 18 337 61 59

www.wolimex.com.pl, e-mail: biuro@wolimex.com.pl

Przechodził przez życie cicho i skromnie, ale efektywnie



Andrzej z ojcem Józefem Beckiem.



Andrzej Beck na emeryturze.

Z Londynu przyjechał dawny jego sekretarz pan Ludwik Lubieński. Zjawili się kilku byłych pracowników ministerstwa spraw zagranicznych, jak i również przyjechała wdowa z dziećmi szofera mojego ojca*. W latach 1993-1999 Andrzej Beck piastował funkcję prezesa Instytutu Piłsudskiego. Zmarł 20 lipca bieżącego roku. Miał 85 lat. *Wspaniały przyjaciel, przechodził przez życie cicho i skromnie, ale efektywnie.* - powiedział jego następcą na stanowisku prezesa Instytutu Jacek Gałązka.

Andrzej Beck kilkanaście lat temu odwiedził Limanową. Z zainteresowaniem zwiedzał miasto, dla którego tak bardzo zasłużyli się jego dziadkowie i w którym pacholeć – młodzieńcze lata spędził jego ojciec. Oglądał także „Bekówkę”, rodzinną posiadłość przy ulicy Słonecznej. Na prośbę warszawskiego małżeństwa – prawdopodobnie znajomych Andrzeja Becka – pani Krysztyny Kęsickiej-Holzer i Jerzego Holzera sama starałam się ustalić w księgach notarialnych proveniencję i akty własności budynku „Bekówki” i działki, na której stoi dom. Państwo Holzer przyjechali nawet do Limanowej i oglądali tą posiadłość. Najwyraźniej trudności w odzyskaniu obiektu (władze lokalne nie miały mieszkań zastępczych dla rodzin rom-

skich) zniechęciły Holzerów czy też samego Andrzeja Becka do jakichś dalszych kontaktów z Limanową. - wspomina dyrektor limanowskiej biblioteki Halina Matras. Pan Andrzej Beck przybył z wizytą do Limanowej pod koniec lat 90-tych. Spotkał się wtedy m.in. z ś.p. biskupem Piotrem Bednarczykiem. Obejrzał też „Bekówkę”. Ta „wizja lokalna” nie wywarła na nim najlepszego wrażenia, bo obiekt zamieszkiwany przez ludność romską, był bardzo zaniedbany. Jakiś czas później przez wspólnych znajomych podjęłam korespondencję z Andrzejem Beckiem i Instytutem Piłsudskiego w Nowym Jorku. Pamiętam, że przesłał mi m.in. monografię Limanowej. On odwdzieczył się nam podobnym prezentem – przysłał nam komplet książek, które znajdują się w księgozbiórze naszej biblioteki. Sugerowałam, aby zaprosić pana Becka na uroczystość nadania imienia Józefa Piłsudskiego Zespołowi Szkół nr 1 w Limanowej i w sumie szkoda chyba, że nie spotkało się to z jakimś zainteresowaniem i odzewem. Być może takie spotkanie zaowocowałoby jakimiś ściślejszymi kontaktami syna ministra Becka z naszym miastem?

Na początku stycznia 2002 r. nawiązał z Muzeum kontakt Andrzej Beck ze Stanów Zjednoczonych, syn

Józefa Becka, ostatniego ministra spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej - wybitnego polityka i dyplomaty okresu międzywojennego. Efektem rozmów z Andrzejem Beckiem było pozyskanie dla Bydgoszczy niezwykle wartościowych pod względem historycznym pamiątek po jego ojcu. Są to m.in. fotografie, karty wizytowe, paszport dyplomatyczny, akty nadania francuskich, jugosłowiańskich, perskich i innych wysokich odznaczeń państwowych, a także służbowa korespondencja ministra Józefa Becka. - taką informację można wyłowić na stronie bydgoskiego Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego.

Czy aby takiej proveniencji njus nie mógłby (ba, czy nie powinien?) znajdować się w archiwum wiadomości na stronie internetowej Muzeum Becka/Becków (lub chociażby Izby Pamięci) w Limanowej?

Fotografie: kadry z filmu „O moim ojcu” przygotował Bogdan Skrzekut

* wypowiedzi Andrzeja Becka w tekście oraz fragmenty korespondencji z ojcem zostały zaczerpnięte z filmu dokumentalnego pt. *O moim ojcu*. Andrzej Beck jest jednym z jego narratorów. Scenariusz i reżyseria: Bożena Garus-Hockuba. Rok produkcji: 2007.

Dla Limanowej i jej mieszkańców 20 lat Związku Limanowian

Powstał w 1991 roku, aby służyć miastu i jego mieszkańcom. Przypominanie historii i tradycji regionu, wydawanie „Echa Limanowskiego”, budowa Krzyża Jubileuszowego na Miejskiej Górze i Drogi Krzyżowej, organizacja okolicznościowych imprez oraz pomoc dzieciom niepełnosprawnym to niektóre przedsięwzięcia realizowane przez Związek Limanowian. O jego 20 – letniej działalności i planach na przyszłość rozmawiają prezes Marek Czeczótka i Ryszard Kulma – jeden z członków – założycieli Stowarzyszenia.

Na fali zmian...

„Po przemianach ustrojowych w Polsce w 1989 roku pojawiła się możliwość zakładania Stowarzyszeń, które służyłyby społeczności lokalnej, a jednocześnie nie miałyby politycznego charakteru” – mówi prezes Marek Czeczótka. Jako pierwsze tego rodzaju stowarzyszenie powstało jeszcze przed transformacją ustrojową Towarzystwo Miłośników Ziemi Limanowskiej, zajmujące się kulturą i historią regionu. Związek Limanowian miał prowadzić działalność społeczną, m. in. przez udział członków Stowarzyszenia w strukturach samorządowych i organizacjach.

„Spotkanie założycielskie odbyło się w siedzibie klubu „Limanovia” – wspomina Ryszard Kulma. Wśród członków założycieli byli nieżyjący już: Tadeusz Kubacki, Michał Wrona, Józef Smierciak, Zygmunt Joniec, Zbigniew Golonka – osoby o dużej wrażliwości na potrzeby społeczne oraz Alicja Kulma, Irena Kurczab, Jan Wielek, Jerzy Mól, Ryszard Szumilas, Rudolf Zaczyński, Roman Duchnik. Prezesem został Marek Czeczótka. Związek został zarejestrowany.

14 listopada 1991 roku w Sądzie Rejonowym w Nowym Sączu ponowna rejestracja jako organizacji pożytku publicznego, prowadzącej działalność gospodarczą miała miejsce 29 sierpnia 2001r. w KRS XII Wydziale Gospodarczym w Krakowie”.



Członkowie Związku Limanowian w czasie akcji charytatywnej dla powodzian.

Wydawca „Echa Limanowskiego”

Przełomowym momentem w działalności związku stało się założenie w 1993 roku „Echa Limanowskiego” – czasopisma lokalnego, wydawanego wspólnie z Towarzystwem Miłośników Ziemi Limanowskiej, jako Pisma Limanowskich Towarzystw Regionalnych. Za zgodą najbliższej rodziny Tadeusza Ociepki sięgnięto do projektu graficznego winiety gazety, ukazującej się pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku. Styl i charakter graficzny pisma nawiązywał do regionalizmu naszej małej Ojczyzny, którą jest Ziemia Limanowska.

Został powołany zespół redakcyjny, który postawił sobie za główny cel przekazywanie informacji bieżących o zdarzeniach w naszym mieście oraz ukazywanie walorów pięknej Ziemi Limanowskiej i ludzi związanych w przeszłości i teraźniejszości z tą ziemią.

Wielką wartością „Echa”, są osoby - „społeczni korespondenci”, którzy pisząc artykuły do tego pisma, wzbogacają jego treść.

Od 1998 roku Związek Limanowian jest samodzielnym wydawcą gazety. W tym czasie zmieniał się wielokrotnie jej poziom edytorski. W ostatnim okresie redakcja pragnie, by „Echo” spełniało funkcję kulturotwórczą i edukacyjną, stanowiło swego rodzaju kronikę wydarzeń, gdzie wracając do przeszłości, ukazuje korzenie naszej tożsamości, których znajomość jest tak istotna w obecnej przynależności do Unii Europejskiej.

W czasie kilkunastoletniej obecności na rynku „Echo” zdobyło wiernych Czytelników. Obecnie sprzedaż dwumiesięcznika wynosi około 90% nakładu, co świadczy o jego dużej poczytności. Warto wspomnieć, że wydawanie gazety w takiej objętości i na takim poziomie graficznym jest możliwe dzięki hojności reklamodawców wspierających jej rozwój.



Obchody Dnia Dziecka w 2003 r. - „Dzieciocy Łańcuch Serc”.

W służbie miastu i mieszkańcom

W 1994 roku Związek Limanowian wspólnie z Krakowską Kongregacją Kupiecką i Ochotniczą Strażą Pożarną utworzył Komitet Wyborczy, którego przedstawiciele weszli w skład Rady Miasta. Podobnie było w kolejnych latach, w wyborach do Rady Powiatu, czy w bezpośrednich wyborach burmistrza (dwukrotnie został nim Marek Czczótko).

Członkowie związku angażowali się w przygotowanie uroczystości miejskich m. in. 80-lecia i 90-lecia Bitwy pod Limanową (1994 i 2004). Byli pomysłodawcami i organizatorami pierwszego festynu z okazji Dnia Dziecka w 1994 roku. „Impreza odbyła się na limanowskim Rynku” – wspomina Ryszard Kulma. „Związek został zobligowany do wpłacenia kaucji, która miała pokryć koszty ewentualnych zniszczeń. Wkrótce festyn został wpisany na trwałe w kalendarz imprez miejskich. W ubiegłych latach organizowaliśmy święto wspólnie z Urzędem Miasta i Kongregacją Kupiecką. W tym roku odbyły się dwa osobne festyny miejski i związkowy. Dzień Dziecka jest finansowany z dobrowolnych datków członków związku, Kongregacji Kupieckiej oraz sponsorów. W tym roku został połączony z Biesiadnym Grillowaniem, co stanowiło dodatkową atrakcję dla uczestników”. Od lat w okresie wiosennym związek jest współorganizatorem z Kongregacją Kupiecką pokazów dla miłośników motoryzacji Salonu Samochodowego. W tym dniu na limanowskim Rynku są prezentowane nowoczesne marki znanych producentów.

Pozostawić ślad...

Związek Limanowian miał duży udział w budowie Krzyża Jubileuszowego na Miejskiej Górze oraz Drogi Krzyżowej.

„Członkowie Społecznego Komitetu Budowy Krzyża to przede wszystkim osoby zrzeszone w związku” – mówi Ryszard Kulma, przewodniczący SKBK. „To dzięki ich zaangażowaniu i bezinteresowności możliwe było zrealizowanie budowy Krzyża Milenijnego w latach 1996–99 oraz Drogi Krzyżowej na Miejskiej Górze w latach 2009–10. Większość prac została wykonana bezpłatnie, członkowie byli sponsorami większości kapliczek. Historia budowy została udokumentowana w oddzielnych publikacjach: „Krzyż – Brama w Trzecie Tysiąc-

lecie” oraz „Limanowska Kalwaria”. Obecnie obydwie obiekty zostały przekazane, Krzyż – władzom miasta, a Droga Krzyżowa – parafii limanowskiej. Oprócz znaczenia religijnego, stanowią atrakcyjne miejsce wędrówek turystycznych.

Dać nadzieję na zdrowie...

Bardzo ważną kartę w historii związku stanowi działalność charytatywna. Od kilkunastu lat jego członkowie zajmują się udzielaniem pomocy dzieciom niepełnosprawnym przez organizowanie zbiórek pieniędzy podczas imprez dla mieszkańców, corocznego balu karnawałowego czy koncertów charytatywnych z udziałem gwiazd kabaretu. Kasia, Maciek, Magda, Michał, Mateusz, Julka to przykłady dzieci, którym zgromadzone środki finansowe umożliwiły zakup leków lub pokryły koszty rehabilitacji. „Wielką szansę poprawy stanu zdrowia dzieci dają rehabilitacyjne turnusy w klinice w Truskawcu na Ukrainie” – mówi prezes Marek Czczótko. Dziesięć lat temu miasto Limanowa podpisało z Truskawcem umowę o współpracy. Dzięki zawartym w niej ustaleniom polskie dzieci są traktowane podobnie jak dzieci ukraińskie, tzn. opłata za 12-dniowy turnus wynosi 1/4 pełnych kosztów rehabilitacji. Efekty uzyskiwane podczas terapii są zaskakujące – możliwy okazuje się np. powrót dzieci do szkoły i zdobycie przez nie wykształcenia.

Przyszłość związku

Działalność związku w przyszłości określą potrzeby chwili. „Z pewnością będziemy kontynuować wydawanie „Echa”, organizowanie festynów czy działalność charytatywną” – zapytamy o przyszłość odpowiada Marek Czczótko. „Pragnęlibyśmy, aby do związku chętniej wstępował ludźmi młodzi, którzy realizowaliby nowe pomysły służące miastu i jego mieszkańcom. Aby mieli podobny zapał do pracy, jak Ci, którzy Związek Limanowian założyli”.

W imieniu Redakcji „Echa” życzą naszemu Wydawcy kolejnych dwudziestu lat udanych przedsięwzięć.

Tekst: Ilona Machowicz - Jurowicz
Fotografie: arch. „Echa”



Prezentacja „Echa Limanowskiego” w czasie 57. Sesji PSPL.



Po charytatywnym koncercie Marcina Dańca - 2005 rok.

Młodzieńcze szkice Jana Kurtycza - dawna Limanowa

Limanowa zapewne była tym miastem, gdzie miały miejsce zdarzenia, które pozostawiły trwałe i głęboki ślad w osobowości Jana Kurtycza.

Tutaj, w okolicach Limanowej, bardzo wcześnie, bo zaledwie mając osiem lat, stracił matkę, mimo, że była katoliczką poniosła śmierć w roku 1942 jako ofiara Holokaustu.

To właśnie tutaj w wieku młodzieńczym odkrył swoje wszechstronne artystyczne zdolności. Zauroczony starą fotografią, szkicuje ulice dawnej galicyjskiej Limanowej.

W późniejszych latach staje się prekursorem sztuki performance i znanym artystą, autorem wielu międzynarodowych wystaw malarskich. W jego sztuce dominuje magiczny realizm, świat rzeczywisty miesza się z symbolicznymi znakami. Uprawiał sztukę efemeryczną (to sztuka zakładająca nietrwałość i krótki czas trwania zdarzenia), a do tej sztuki należą także performance. Zanim jego praca stała się źródłem inspiracji dla wielu artystów, sam przeszedł daleką, trudną i często gorzką życiową drogę.



Mali muzycanci, Jan i Maria z ojcem Józefem Kurtyczem - 1944 rok.

Urodził się 21 marca 1934 roku w Pielgrzymowicach koło Pszczyzny, jako syn Janiny i Józefa Kurtyczów w rodzinie o korzeniach limanowskich. Ojciec, znany po wojnie limanowski nauczyciel i społecznik, w latach międzywojennych przeniósł się z Limanowej na Śląsk Cieszyński, gdzie otrzymał pracę jako nauczyciel.

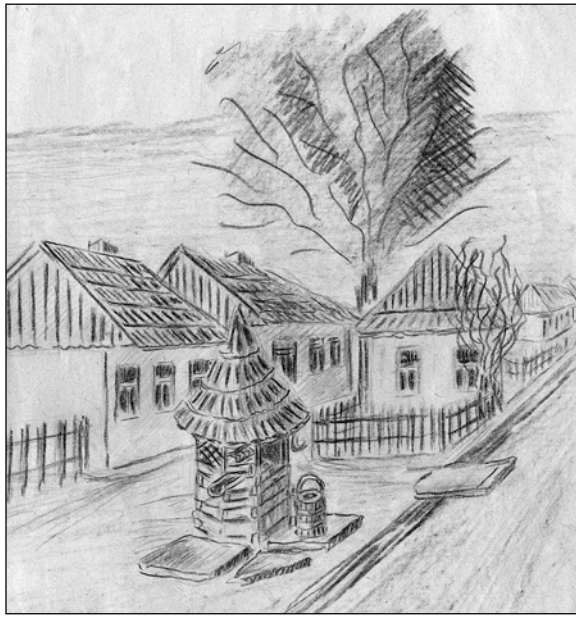
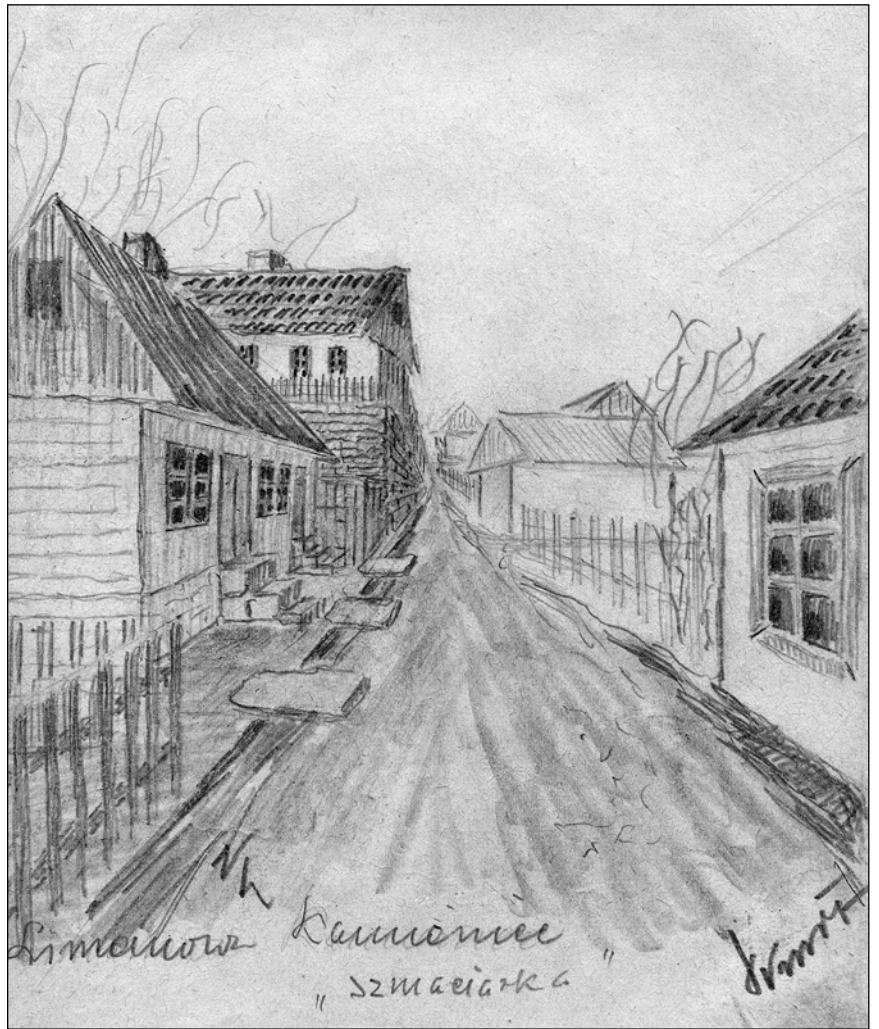
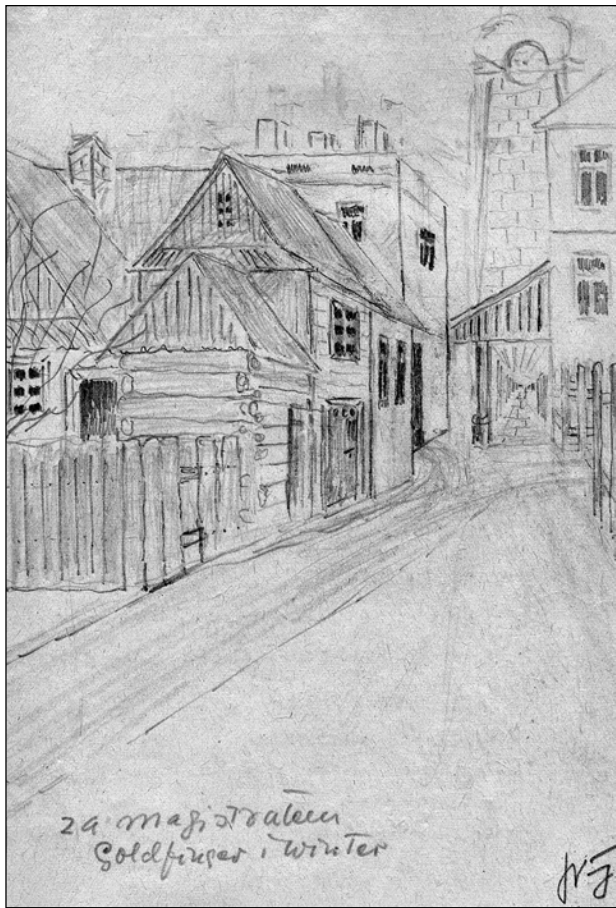
Wyrzucona z Pielgrzymowic przez wkraczających we wrześniu okupantów rodzina Kurtyczów chroni się w Pisarzowej k. Limanowej, skąd pochodzi Jana matka. W tym czasie ojciec podejmuje pracę jako nauczyciel w miejscowej szkole. Tu ma miejsce tragiczne zdarzenie utraty na zawsze matki. Fakt ten wywiera na chłopca olbrzymie wrażenie, ma to wpływ na jego dalsze życie, jak również na twórczość, która pochłania go całkowicie na emigracji.



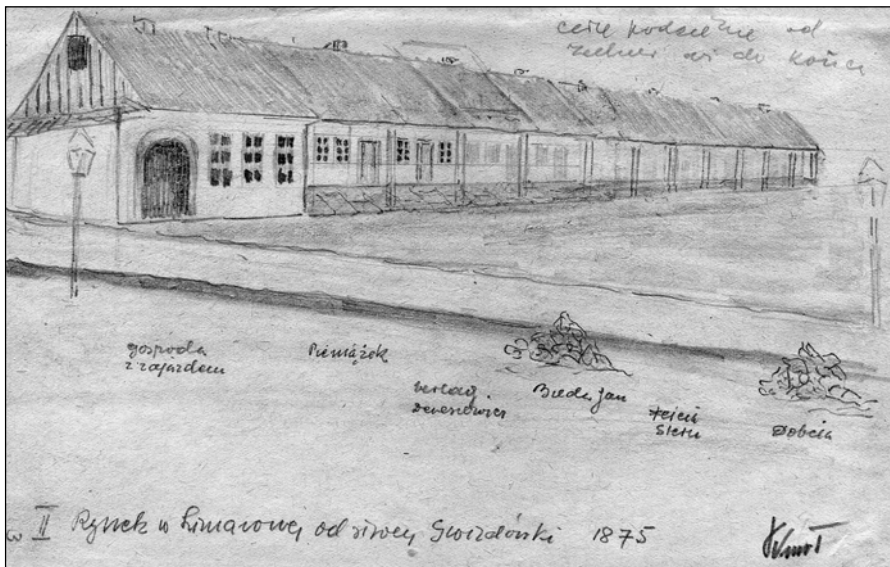
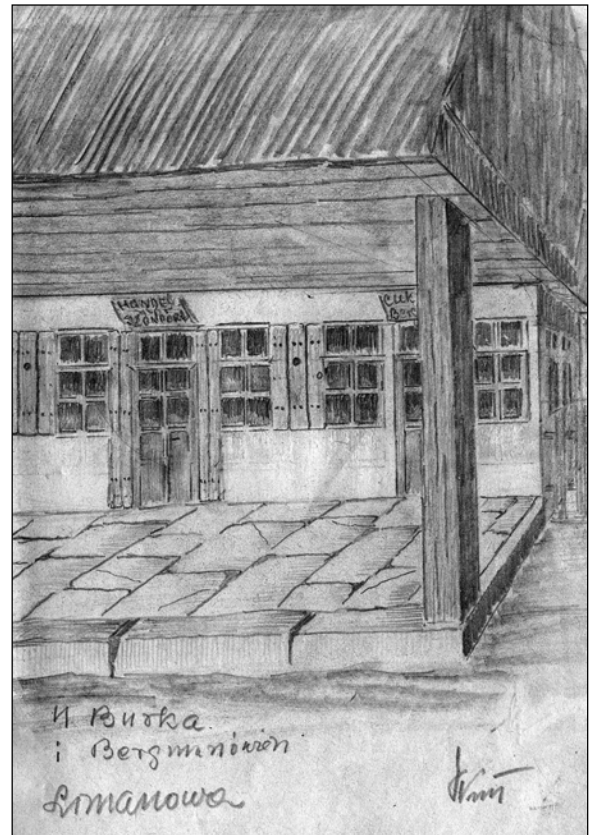
Jan Kurtycz z babciami - Marią i Janiną na stacji w Pisarzowej - 1936 r.



Jan i Maria z rodzicami Janiną i Józefem Kurtyczami w Pielgrzymowicach.



**Dawna
Limanowa**
w młodzieńczych
szkicach
**Jana
Kurtycza**

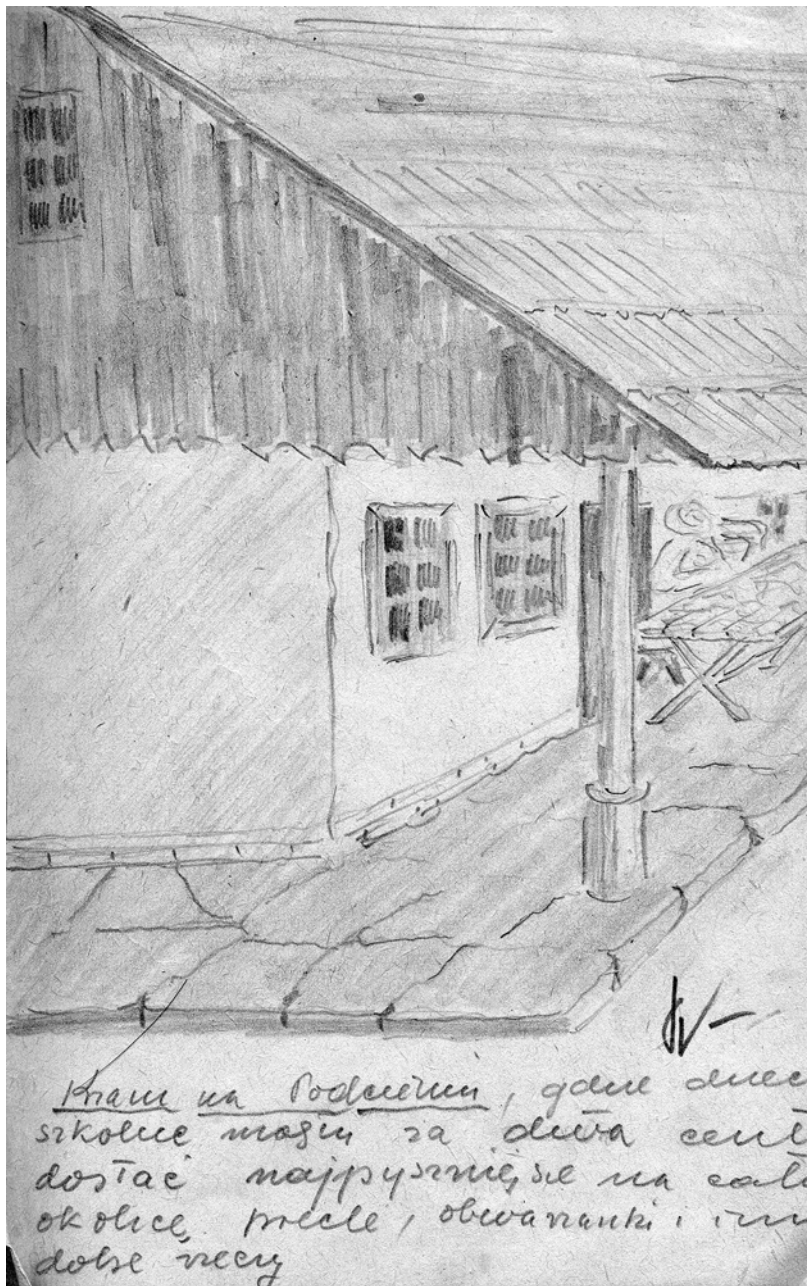




Jan Kurtycz - uczeń technikum.



Na studiach w Warszawie (Jan Kurtycz pierwszy z prawej).



Dorasta w czasie II wojny światowej i w tym właśnie okresie formuje się jego charakter. Pierwsze jego rysunki obejmujące treścią lata wojny, (1939-1945), które zatytułował: „Moje pierwsze doświadczenie II wojny światowej”, zawierają głęboką symbolikę wewnętrznych przeżyć.

Na jednym z nich, przejmującym w swojej ekspresji rysunku, widzimy: „mogiłę z krzyżem, na którym widoczna jest znacznej wielkości postać Chrystusa. Mogiła znajduje się na końcu drogi, a przy niej siedzi chłopiec wpatrzony w bezkresną przestrzeń”. To artystyczna zapewne alegoria przeogromnego smutku i żalu za utraconą w tak okrutny, niesprawiedliwy sposób matką.

Po wojnie z ojcem i młodszą siostrą Marią wyjeżdżają do Bielska Białej, tam bardzo zdolny i utalentowany Jan w roku 1952 kończy Technikum, uzyskując dyplom Technika Obrabiarek Przemysłowych. To nie kres jego ambicji naukowych. Podejmuje zaraz studia na Politechnice Warszawskiej, które kończy w 1957 roku, otrzymując dyplom z inżynierii mechanicznej.

W latach 1958–61 prowadzi badania w dziedzinie techniki metrologii w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie.

Zdobytą wiedzę techniczną wykorzystuje w pracy redakcyjnej, przygotowując przez wiele lat bardzo ciekawą ostatnią stronę w miesięczniku naukowo-technicznym „Młody Technik”, który w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był modnym czasopismem wśród młodzieży.



Jan Kurtycz na Politechnice Warszawskiej.



Jan Kurtycz z żoną Mercedes. Meksyk - początek lat siedemdziesiątych XX w.

W tym samym czasie zaczyna malować skrycie, „Inżynier podziemnych artystów”, ale już w 1959 roku wystawia swoje pierwsze prace w Hybrydach, Międzynarodowym Klubie Studentów w Warszawie.

Na początku lat sześćdziesiątych wyjeżdża na Kubę pogłębić swoją wiedzę, gdzie równocześnie wykłada na Uniwersytecie i Instytucie Pedagogicznym w Hawanie. Tam poznaje pierwszą żonę, Meksykankę Mercedes Escamilla, która w późniejszym okresie będzie miała wpływ na dalsze koleje jego losu.

W roku 1965 powraca do kraju i podejmuje pracę przy rozbudowie Puław. Specjalizuje się w tym czasie w dziedzinie cybernetyki, będąc asystentem w Instytucie Automatyki w Warszawie.

W dalszym ciągu poszukuje swojej drogi artystycznej. Podejmuje współpracę z tygodnikiem „Kultura”. W latach tych wykonuje serię rysunków „Katów”, gdzie obsesyjnie powraca do tematu Holokaustu. Powraca również pamięcią do lat dzieciństwa, przeżytych bardzo trudnych wydarzeń.

Przygotowuje książkę, w której każda strona jest zbiorem zdjęć rodzinnych z przedwojennej Polski, opatrzona swastyką - symbolem zniechęconej okupacji. Jest to tzw. kolaż - technika artystyczna polegająca na kompozycji z różnych materiałów, np. fotografii naklejonych na papier i łączonych tradycyjnymi technikami plastycznymi, w tej technice chodzi o stworzenie unikalnych wrażeń wizualnych.

W tym czasie jego żona Mercedes jest kierownikiem redakcji w języku hiszpańskim w Polskim Radiu.

Jan z Mercedes w 1967 roku decyduje się wyjechać z Polski. Osiedlają się w kraju żony, w stolicy Meksyku, gdzie Jan przebywa do końca swojego życia.

W Meksyku przychodzi na świat córka Anna, która jak później się okazało poszła w ślady ojca. Zajmuje się sztuką grawerowania. Jak sama mówi: *Na moją twórczość wyraźny wpływ miał ojciec.*

Sam Jan Marcos Kurtycz w Meksyku poświęca się całkowicie działalności artystycznej. Jest grafikiem, edytorem, autorem książek, fotografii, projektantem plakatów, autorem programów teatrów uniwersyteckich, maluje, a przede wszystkim jest jednym z prekursorów sztuki performance.

Przez 30 lat pracy w Meksyku wywarł wielki wpływ na wielu współczesnych artystów meksykańskich. W wielu recenzjach o jego twórczości można przeczytać: *Był to wielki innowator i eksperymentator nowatorskich rozwiązań we współczesnej sztuce.* Wrazem tego były liczne jego udziały w wielu wystawach, na których ekspozował swoją twórczość, niezliczoną ilość razy w Meksyku oraz za granicą: w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Japonii, Hiszpanii, Portugalii, Francji, Włoszech. Jego prace także znalazły na trwałe miejsce w Muzeum Sztuki Współczesnej w Meksyku.

Nie rezygnuje z kontaktów artystycznych z krajem ojczystym - Polską. Skromnie, ale jednak, prezentuje tu swoje prace. Wystawia w Galerii Współczesnej w Warszawie - 1968 r., bierze udział w 4. Biennale Plakatu w Warszawie - 1970r.,

prezentuje swoje prace w Galerii X w Warszawie - 1980r. Po spotkaniu z Krzysztofem Jasińskim, dyrektorem teatru „STU” zaczyna nawiązywać głębszą komunikację z Polską. Jednak do owocnej współpracy nie dochodzi. Żeni się po raz drugi. Jego żoną zostaje również Meksykanka Ana Garcia Kobeh, z którą ma córkę Alexandrę.

Jan Marcos Kurtycz miał szczególnie aktywne życie. Jego żona Ana mówiła o nim: *To jest mój wół roboczy.* W jego życiu miała miejsce wielka różnorodność dzieł artystycznych, to wielki eksperymentator - artysta.

W czasie kiedy z Polski zostaje wysłany list z zaproszeniem na IV Międzynarodowy Festiwal Performance - „Zamek Wyobraźni” i list jest w drodze do Meksyku Jan Marcos Kurtycz umiera 13 marca 1996 roku.

Polak, artysta, Don Kichot, niestety nie zdążył przybyć do Ojczyzny. Obecne jednak były Jego prace w bytowskim zamku krzyżackim, które przysłał wcześniej. Stały się one zapewne symbolem powrotu uznanego artysty, Jana Kurtycza do kraju jego młodości i rodzinnych korzeni.

Fotografie: arch. rodziny Kurtyczów
Szkice: Jan Kurtycz

Dziękuję p. Leopoldowi Kucharczykowi za pomoc w opracowaniu artykułu.

Wincenty Gawron limanowski witrażysta

„Służmy pocziwej sławie, a jako kto może, niech ku
pożytku dobra wspólnego pomoże.”

(Jan Kochanowski - Pieśń o dobrej sławie)

25 sierpnia 1991 roku w nowosądeckim szpitalu skończył życie Wincenty Gawron - malarz, witrażysta, rytownik, grafik, pisarz, a nade wszystko wielki patriota, rodak zakochany do końca swoich dni w swej Małej Ojczyźnie - Limanowej.

Chociaż drugą połowę życia spędził wbrew swojej woli na obczyźnie, zawsze pamiętał o Polsce - macierzystym kraju, a przede wszystkim o Limanowej, jej okolicach i górach, do których rwało się serce i gdzie pod koniec życia przyjeżdżał w letnich miesiącach.

Przez długie 46 lat tułaczki po obcych kątach, powtarzał i pisał do bliskich, że chciałby przynajmniej po przejściu do innego świata, wrócić i spocząć w ukochanej ziemi.

Marzenie artysty się spełniło. Odszedł do innego wymiaru zupełnie nieoczekiwanie podczas pobytu w Polsce. Wylew do mózgu i paraliż zakończył ziemską wędrówkę Wincentego.

Dzięki wspianemu gestowi ks. prałata Józefa Poręby znalazł swe miejsce w cichej kwaterze wojskowej limanowskiego „starego” cmentarza, wśród żołnierzy darzonych od dziecka największym uczuciem. Artysta zdawał sobie bowiem sprawę z poświęcenia ludzi, którzy musieli się bić i ginąć w obronie interesów rządzących i nie mieli żadnego wyboru, choć myśl ustawicznie uciekała do swoich, do bliskich, do rodziny.

Tragedię żołnierzy zobaczył po raz pierwszy, kiedy to trzymając się kurczowo ojcowskiej ręki, szedł w grudniu 1914 r. na Jabłoniec, na pole bitwy, bo ojciec - wójt starowiejski otrzymał od władz starostwa polecenie zorganizowania pochówku poległym. Patrzył na ten tragiczny obraz po bitwie i zakodował go sobie na zawsze w umyśle wracając często w dorosłej twórczości do tematyki żołnierskiej.

Cała rodzina w kraju i za granicą jest ogromnie wdzięczna Ks. Prałatowi Porębie za ten wymowny i wspaniałomyślny gest świadczący o tym, że docenił wkład Wincentego w dzieło upiększenia limanowskiej świątyni.

Razem z tą świątynią Wincenty wzrastał, patrzył, jak podnoszą się jej mury i z radością pomagał ojcu liczyć „drobniaki” wrzucane przez starowiejskich



Obraz Wincentego Gawrona „Droga do nieba” pośrodku (w drugim rzędzie) idą ojciec Jan i matka Anna. Obraz znajduje się w Muzeum Parafialnym w Limanowej.



Wincenty Gawron (1908-1991)

mieszkańców do blaszanej puszki na budowę kościoła przy okazji wpłacania podatków gruntowych.

Gdy puszka była pełna, wójt odnosił ją do Zaczego Księdza Prałata Kazimierza Łazarzkiego i po jej opróżnieniu składki zaczynały się od nowa, byle tylko Dom Boży, kościół - wotum sławiący setną rocznicę Konstytucji 3 Maja rósł w podzięciu za wszystkie łaski otrzymane od Opatrzności Bożej i Przenajświętszej Panienki.

Gdy Wincenty Gawron skończył studia, ożenił się z warszawianką i osiadł na stałe w stolicy, ale nie zapomniał „o swoich”, często przyjeżdżał w rodzinne strony i zawsze odwiedzał limanowski kościół, piękny, zadbane, ale ciągle jeszcze wiele w nim było do zrobienia.

Artysta zwrócił uwagę na brakujące witraże. Był utalentowanym malarzem, miał już swoich zwolenników i swoją wizję potrzebnych kompozycji, ale nie miał odwagi, by wystąpić z własną propozycją.

Tymczasem wybuchła II wojna światowa, ukochana matka Anna ciężko zachorowała i Wincenty zaczął coraz częściej bywać w Limanowej. W grudniu 1939 r. porzucił stolicę i zamieszkał u swej najstarszej siostry Marii Biernatowej w Mordarce. Nie przerwał działalności artystycznej, ale równocześnie zaangażował się w ruch oporu.

W lipcu odeszła do wieczności matka artysty. Dzięki ks. Prałatowi K. Łazarskiemu, skromna, ale bardzo zacna kobieta, matka znanego rodu Gawronów, miała w ciężkim okupacyjnym czasie godny pochówek, piękną oprawę smutnej uroczystości i chwytające za serce słowa pożegnania.

Syn doceniając starania ks. Prałata, ofiarował mu duży obraz, specjalnie dla Niego namalowany - „Droga do nieba” obecnie znajdujący się w Muzeum Parafialnym. W kilkanaście dni po odejściu matki z inicjatywy siostry Marii udał się do kancelarii parafialnej, by prosić o odprawienie mszy świętej w intencji zmarłych rodziców. Przyjął go ks. Młynarczyk (późniejszy proboszcz w Podegrodziu).

Zacząła się rozmowa, w czasie której Wincenty zaprezentował kilka szkiców obrazów i propozycji witraży. Księżdz Młynarczyk zachwyciło ich piękno, niecodzienne ujęcie i przedstawił je swemu zwierzchnikowi, który znał już zdolności i poczynania dawnego parafianina. Dlatego też zasugerował mu wykonanie projektów, który to pomysł artysta przyjął z radością, bo jego marzeniem było przyozdobienie kościoła, a równocześnie podziękowanie limanowskiej Pani za realizację osobistych planów, skończenie studiów, co dla chłopskiego syna było sporym dokonaniem, utrwalenie swojego śladu w rodzinnej miejscowości, a równocześnie dostarczenie przeżyć estetycznych tym, którzy będą odwiedzać ten Dom Boży.

Po zaakceptowaniu wstępnych projektów zaczęła się dla artysty wyczerpująca praca rozrysowania poszczególnych postaci, krajobrazu, detali w naturalnej wielkości na dużych kartonach. Pracę wykonywał u siostry Marii w bardzo prymitywnych warunkach, rozkładając arkusze na zdjętych z haków wrotach stodoły. Pracownią stało się boisko w stodołę dzielące 2 sąsiedki (komory). Bardzo ważną sprawą był dobór kolorów i przewidywanie efektów ich wykonania w Zakładzie Szklarskim Wojciecha Kaima w Limanowej.

Artysta pracował od rana do wieczora, by wykorzystać światło dzienne, bo innego oświetlenia nie było. W ten sposób powstały 2 witraże - „Siewca” i „Polonia rediviva” (Opatrzności Bożej).

Czy wchodzący do limanowskiej bazyliki zwracają uwagę na witraże, ich piękno i sens? Czy czytają notkę o twórcach?

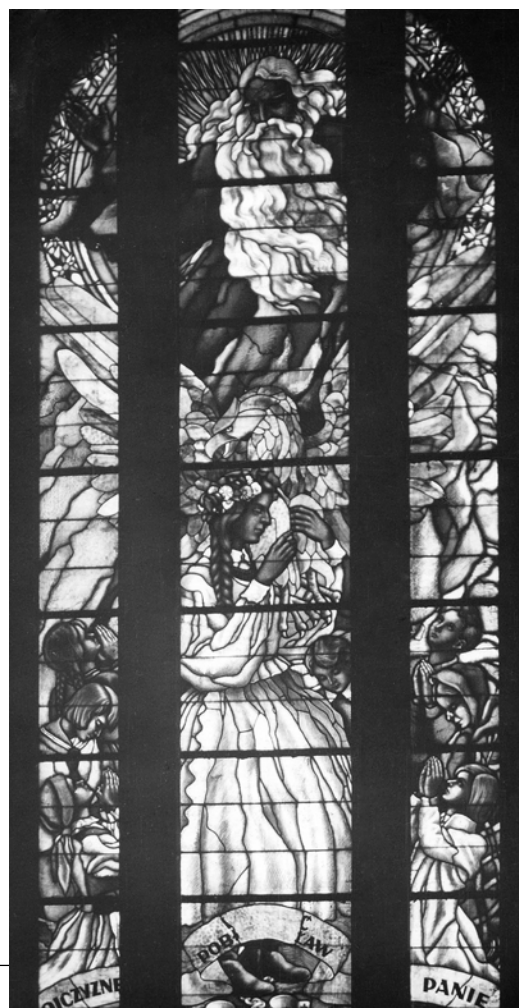


Powyżej: Witraż „Siewca” - siewcą na witrażu jest ojciec artysty Jan Gawron.

Poniżej: Witraż „Polonia Rediviva” (Opatrzności Bożej) - dziewczyna ma twarz matki artysty Anny.



Siedzi z prawej Wincenty Gawron autor witraży. Fotografie wykonane przez Jana Wójcika przed renowacją witraży.



Może warto, bo przez nie artyści coś nam podsuwają, o coś apelują, przypominają, starają się oddziaływać na uczucia i jaźń.

Zaraz po przekroczeniu drzwi bazyliki witają nas obydwie witraże Wincentego Gawrona. Optymistyczny, barwny „Siewca” wczesnym rankiem wychodzący w pole, by w przygotowaną ziemię wrzucić ziarno mające dać chleb jego rodzinie i innym. Zamaszty ruch spracowanej dłoni, skupiony wyraz twarzy i bosse nogi stąpające twardo po ojcowiznie, Ziemi-Matce, siermiężna, lniana koszula przepasana solidnym, skórzanym pasem, krzaczaste brwi - to portret ojca artysty Jana Gawrona. Tylko włosy otrzymał po swoim ojcu, a dziadku Wincentego. Nad zbożną pracą Siewcy w błogosławiącym geście rozpościera dłoń Matka Boża. Rozwiana, tęczowa szata dodaje ważności pracy człowieka, który widząc całe piękno przyrody, nie czuje ciężaru swego trudu. Siły dodaje mu również śpiew skowronków. Skowronka, jak chce legenda, powołał do życia wędrujący po świecie Jezus, lepiąc małego ptaszka z gliny i wyrzucając go w powietrze, by zaczął śpiewać pracującemu rolnikowi, aby mu było lżej, weselej i nie czuł swej samotności.

Boża Rodzicielka ma twarz matki artysty. W ten sposób syn chciał powierzyć zaziemskie już losy rodziców opiece Najświętszej Marii Panny.

Po prawej stronie po wejściu do bazyliki jest drugi witraż Wincentego „Polonia rediviva”(Opatrzności Bożej) przedstawiający młodą dziewczynę trzymającą na ramieniu orła, który po zerwaniu pęt podrywa się do lotu. Dziewczyna personifikuje Polskę zrywając okowy, wymoloną i wywalczoną przez lud po 123 latach niewoli. Siedmioro dzieci - przedstawicieli różnych stanów skupione wokół Matki - Ojczyzny dziękują za wolność i proszą o błogosławieństwo oraz pokój Boga Ojca, który rozłożywszy dłoń chce przysparzać do siebie wszystkich.

Tutaj także dziewczyna - POLONIA po renowacji ma twarz matki artysty.

Na dole napis: OJCZYŻNE, WOLNOŚĆ - POBŁOGOSŁAW PANIE - zwrot z hymnu „Boże coś Polskę”.

Warto przypomnieć, że artysta namalował wiele obrazów, nawiązując do różnych pieśni.

Obydwie witraże były już gotowe i miały być zamontowane. Oczekujący na to podniosłe wydarzenie artysta zo-

stał za pracę w konspiracji aresztowany, osadzony w więzieniu w Nowym Sączu, a potem przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po przeniesieniu do podobozu w Harmense (Jeden z 4 podobozów Oświęcimia) udało mu się zbiec po 13 miesiącach katongi.

Zawsze uważał, że swoje ocalenie zawdzięcza Matce Bożej Limanowskiej, która, tak jak wielu, okryła go swoim płaszczem miłości.

W czasie okupacji zamontowano w kościele tylko jeden witraż Wincentego Gawrona - „Siewcę”, naturalnie bez nazwiska artysty. „Polonia rediviva” ze względu na jednoznaczność obrazu musiała czekać na zakończenie wojny.

Artysta zobaczył „Siewcę” po powrocie z obozu wprowadzony do świątyni nocą bocznymi drzwiami.

Natomiast drugi witraż mógł oglądać dopiero w latach siedemdziesiątych miniego wieku, kiedy to po raz pierwszy po prawie 20 latach pobytu za oceanem, pozwolono mu odwiedzić ojczysty kraj.

Witraże, wykonane w czasie okupacji w Zakładzie Szklarskim, złej jakości farbami ulegały zniszczeniu. Kolory wyblakły, obraz się zacierał, trzeba było je za wszelką cenę ratować. Udało mu się namówić do pokrycia kosztów renowacji swoją siostrzenicę - Marię Mazur, która nie była limanowską parafianką. Urodzona we Lwowie, dorosłe życie związała z Wrocławiem, Nowym Sączem

i Chicago. Zdecydowała się jednak wyłożyć dużą sumę z ciężko zarobionych pieniędzy, by ratować dzieło wujka, brata matki Katarzyny. Witraże odzyskały dawną świetność, przynoszą chlubę bazylice i przysparzają chwały Matce Bożej Bolesnej i Jej Synowi. Schowanych przed okupantem w wieży kościelnej kopii witraży Wincentego nie odnaleziono.

Nadchodziła kolejna, tym razem 200 - rocznica Konstytucji 3 Maja. Artysta postanowił wykonać ostatni już witraż do limanowskiej bazyliki.

W kaplicy św. Antoniego znajdował się owalny witrażyk ukazujący „lilijkę” tego świętego. Należało koniecznie znaleźć miejsce na upamiętnienie kolejnej okrągłej rocznicy przypominającej cel wzniesienia świątyni. Wymieniony witraż umieszczono nad drzwiami wejściowymi, a jego miejsce zajął inny związany z Konstytucją 3 Maja - STANY MIESZCZAŃSKI I CHŁOPSKI - SKŁADAJĄ HOŁD OPATRZNOŚCI. Projekt Wincentego Gawrona przywiozła do Polski wymieniona uprzednio siostrzenica Maria. Witraż przedstawia dwóch odświętnie ubranych mężczyzn - mieszczanina i chłopą podtrzymujących limanowską świątynię. Jest to bardzo symboliczne, bo to głównie te 2 stany pracowały fizycznie na budowie. Mieszczanie wykonywali mniej skomplikowane prace, a chłopcy ponadto zwozili materiał. Na gospodarskie wozy ładowali ogromne



Nabożeństwo pogrzebowe odbyło się w limanowskiej bazylice.



Witraż Wincentego Gawrona zamontowany w limanowskim kościele już po jego śmierci.

głazy w mordarskim kamieniołomie i przywozili je na plac budowy swoim sprzężeniem, najczęściej wołami lub krowami, bo konie zabrano „na wojnę”. Nad sylwetką kościoła Oko Bożej Opatrzności, na cokole herb Polski i miasta, wokół napis: WITAJ MAJOWA JUTRZENKO - ŚWIEĆ NASZEJ POLSKIEJ KRAJINIE i 4 daty

1791 - 1891 - 1918-1991. Potem jeszcze nazwisko projektodawcy, fundatora i zakładu witrażowego.

Rok 1991 był znamienym w życiu artysty. Ostatni projekt witraża do kościoła w rodzinnej miejscowości, ostatnie dzieło wykonane dla Bożej chwały, ostatni pobyt w ojczystej ziemi, ostatnie poże-

gnanie miejsc, które ukochał i odejście w bezpowrotną drogę. Tłumy ludzi odprowadziły Go na miejsce wiecznego spoczynku. Poczty sztandarowe, delegacje więźniów oświęcimskich, kombatanów a także młodzi ludzie, uczniowie.

Wielu towarzyszących artyście w ostatniej drodze nigdy go nie widziało, ale znało jego dokonania z opowiadań bliskich i witraży. Inne prace znajdujące się w muzeach, bibliotekach czy u osób prywatnych ogląda się tylko okazjonalnie. Natomiast takie jak te, w limanowskiej bazylice, można oglądać często, nawet codziennie, przeżywać ich treść i wysnuwać wnioski.

Myślę, że najbardziej przekonującym są właśnie owe witraże, proste, wyraziste oddziałujące na zmysł estetyczny widza.

Każdy człowiek musi kiedyś odejść, ale jego czyny, dzieła, dokonania zostają i świadczą o tych, którzy byli i choć już ich nie ma, pozostawili po sobie ślad. Tak myślał, żył i tworzył Wincenty Gawron.

To już 20 lat jak odszedł człowiek, który ukochał swoje rodzinne strony „nad miarę” i dla ich dobrego imienia gotów był wszystko zrobić.

Zastanawiam się czy miłość do swojego kraju, rodaków, miasta zawsze musi być jednostronna? Czy potomni, wyłączając niewielką grupę osób, nie mogą nic zrobić, żeby podtrzymać pamięć? Powstaje tyle nowych obiektów, placówek, szkół. „Mądrzy tego świata” łamią sobie głowy, jakie by im dać imię?

Czy Wincenty Gawron ze względu na swą „nieuleczalną” miłość do Limanowej nie zasłużył sobie na to, by patronował jakimś liczącemu się obiektowi?

Zofia Wiśniewska

Za rady i wskazówki dziękuję swemu kuzynowi Wincentemu Gawronowi.

**Fotografie: Jan Wójcik,
Jan Uryga,
arch. rodziny Gawronów**

W „Echu Limanowskim” numer 204-205 z wrzesień-październik 2011w artykule pt. „Niezlamani kłęską” wkradł się błąd. Jest: „Stanisław Mamak pseudonim „Rzeka”, powinno być: **Stanisław Mamak pseudonim „Dziedzic”**. Za pomyłkę Redakcja przeprosza Czytelników.



Wincenty Gawron został pochowany w kwaterze wojskowej na parafialnym cmentarzu w Limanowej.

Maria i Jan Kaliszowie w służbie oświaty

*„Żyjmy jak można najpiękniej
czy jasne, czy szare są dni,
bo życie to skarb w naszych rękach,
a przez nas ma świat lepszy być.”*

Ziemia limanowska może poszczycić się wieloma wybitnymi pedagogami, którzy wnieśli ogromny wkład w różne dziedziny życia nie tylko lokalnego lecz ogólnokrajowego.

Do takich postaci należą Maria i Jan Kaliszowie.

Maria (z domu Zelek) urodziła się w 1905 roku w Sechnej. Tam też zaczęła uczęszczać do szkoły podstawowej, by ukończyć ją w Ujanowicach. Rodzice prowadzili dobrze postawione gospodarstwo rolne, ale liczne potomstwo wymagało sporego wkładu finansowego. Ponieważ Maria była zdolną i pilną uczennicą, ojciec ulegając prośbom córki postanowiłłożyć na jej wykształcenie. Wybrała zawód nauczycielski i przygotowywała się do niego w Prywatnym Żeńskim Seminarium Nauczycielskim w Nowym Sączu.

Pobyt w wymienionym zakładzie bardzo obciążał domowy budżet, bo miesięczne chesne wynosiło aż 100 zł, co według ówczesnych przeliczeń stanowiło równowartość średniej klasy krowy. Pomnożywszy to przez miesiące i lata nauki „wychodziła” ogromna kwota, na którą ciężko pracowała cała rodzina. Maria doskonale zdawała sobie z tego



Maria Kalisz (1905-1982)

sprawę, doceniała wysiłek najbliższych i do końca życia z wdzięcznością ich wspominała.

Dzięki ich wyrzeczeniom ONA otrzymała beczenny posag - wiedzę, której żaden żywiol nie mógł zabrać.

Po złożeniu matury w 1925 r. została skierowana do pracy w szkole powszechnej w Lubomierzu (taką nazwę nosiły wówczas szkoły podstawowe).

Lubomierz - to odległa i rozległa wieś, wówczas bardzo zaniedbana, ale



Jan Kalisz (1904-1966)

i tak był to los wygrany na loterii życia, bo nie musiała opuścić limanowskiej ziemi i szukać szczęścia na dalekich Kresach.

O rok wcześniej w innym „kacie” Limanowszczyzny - Męcinie przyszedł na świat Jan Kalisz (1904). Rodzice - Jan i Wiktoria byli niezbyt zamożnymi rolnikami i chociaż mieli kilkoro dzieci, starali się każdemu w miarę możliwości jakoś pomóc, by znalazło swoje miejsce w życiu.

Janowi po ukończeniu szkoły powszechnej w Męcinie udało się dostać do Państwowego Seminarium Męskiego w Starym Sączu. Spotkało go ogromne wyróżnienie, bo nie trzeba było płacić chesnego, na co rodzice nie mogliby sobie pozwolić. Pomimo tego i tak musieli włożyć wiele wysiłku, by opłacić synowi mieszkanie, kupić obowiązkowy mundur, przybory i zapewnić wyżywienie.

Chłopiec wykazywał uzdolnienia do przedmiotów ścisłych i muzyki. Pięknie grał na skrzypcach, początkowo amatorsko, a potem profesjonalnie. Dla własnej przyjemności i osób doceniających sztukę tej muzy grywał utwory trudne, wartościowe i piękne. Aby nieco zapełnić cienką uczniowską sakiewkę, grywał na weselach, zabawach i uroczystościach rodzinnych. To pozwoliło mu na drobne, czasem większe zakupy (buty) i małe, osobiste przyjemności.



W gronie rodzinnym. Od lewej: syn Leszek, Maria Kalisz, córka Zofia, Jan Kalisz, najmłodszy syn Ryszard.

W zawodowym życiu na systematyczną grę na skrzypcach brakowało czasu.

Czas zdobywania nauki minął Janowi szybko, za szybko. Chętnie podjąłby dalsze studia, ale ze względów finansowych nie było to możliwe. Należało odłożyć plany dalszego kształcenia na później, podjąć pracę i stać się niezależnym człowiekiem.

Otrzymał angaż do szkoły powszechnej w Lubomierzu i tam spotkał młodą, szczupłą o smagłej cerze, podobną do cyganki dziewczynę - Marię, która w tym samym czasie zaczynała nauczycielski staż.

Był rok 1925. Praca, rozmowy, spacer, zainteresowania zbliżyły do siebie młodych. Po roku otrzymali przeniesienie do Rybia. Rodzące się uczucie owocowało małżeństwem. Początkowo pracowali razem w Rybiu Starym, ale usilnie zabiegali o przeniesienie do szkoły podstawowej w Limanowej.

W 1929 r. Jan otrzymał etat w szkole podstawowej w Limanowej. Dla Marii, niestety, nie było miejsca. Dlatego przez rok pracowała jeszcze w Kaninie, by wreszcie w 1930 r. przenieść się do limanowskiej „Jedynki”.

Ulubionymi przedmiotami Marii były: historia, biologia i geografia. Jan pozostał wierny przedmiotom ścisłym - matematyce, fizyce, chemii.

Z myślą o powiększeniu rodziny zaczęli szukać trwałego i wygodnego lokum. Wybór padł na drewniany, ładny dom z dużym ogrodem „pod stacją” przy dzisiejszej ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego. Przeanalizowali wszystko „za i przeciw” i zakupili wybrane domostwo.



Przed szkołą w Limanowej. Siedzą od lewej: Jan Kalisz, Franciszka Ceglarsz, Stanisław Ceglarsz, Maria Kalisz, Mieczysław Mordarski-senior.

Widok z domu był miły. Z południowych okien widać było Siwy Brzeg, połączone wspólnym korytem 2 potoki - Mordarski i Starowiejski płynące już jako Sowlinka, powyżej zieleni lasu Rusinki i wzgórza Lipowego. Po drugiej stronie ulicy „Strzelnica”. To pewno dlatego p. Kalisz zainteresował się bliżej organizacją „Strzelec”, i stał się jej opiekunem, co później w czasach Polski Ludowej było źle widziane.

Już w 1929 r. rozpoczął 3-letnie zaoczne studia w Uniwersytecie Poznańskim. Był to Wyższy Kurs Nauczycielski - odpowiednik dzisiejszego licencjatu. Specjalizował się w matematyce i fizyce. Po skończeniu mógł uczyć tych przedmiotów

w szkole średniej i to mu właśnie władze oświatowe zaproponowały. Niestety, w Limanowej takiej szkoły nie było, a on nie chciał się już przenieść.

W tym górskim miasteczku miał „przytulisko” - własny, wygodny dom, rodzinę. Tu na świat zaczęły przychodzić jego dzieci - Zofia - jakże podobna do matki, Leszek i w czasie okupacji - Ryszard. Został tu, gdzie nakazywało serce. Uczyli wspólnie z żoną, zawiązywali przyjaźnie, wchodzili w skład limanowskiej inteligencji. Wszystko układało się pomyślnie. Przed domem kwitły kwiaty, w domu rodzinne szczęście.

Spokojną egzystencję zburzył wybuch II wojny światowej. Wrzesień 1939 r. i ciągnąca się ponad 5 lat wojna dała się mocno we znaki pp. Kaliszom. Ciężar utrzymania rodziny spadł na p. Jana. Wróg nie pozwolił pracować obydwójgu małżonkom. Mogło to czynić tylko jedno. Przeważnie żona pozostawała w domu, chyba że mąż był chory, na emeryturze lub nieobecny (np. nie wrócił z kampanii wrześniowej).

Wynagrodzenie za pracę było minimalne i absolutnie nie starczyło nawet na najskromniejsze utrzymanie 5 - osobowej rodziny. Pani Maria od wiosny do późnej jesieni po całych dniach pracowała w ogrodzie. Siała, plewiła, sadiła. Ten ogród był prawdziwym skarbem. Warzywa, ziemniaki, groch, kapusta, owoce z kilkunastu drzew - to podstawa okupacyjnego żywienia.

Podarowana przez babcię krowka, wypasana „gdzie się dało”, choć miała



Przed domem, gdzie mieszkali państwo Kaliszowie (w pobliżu dworca PKP). Stoją: Maria Kalisz z synem Ryszardem.



Maria Kalisz na wycieczce z młodzieżą.



Jan Kalisz w czasie lekcji w Zasadniczej Szkole Zawodowej.

„wredny” charakter, bo bodła, zapewniała mleko, trochę śmietany do zupy i masło. Jajka od kilku kurek trzeba było oszczędzać, by wymienić je na cukier.

Praca w domu i ogrodzie, utrzymanie rodziny, sprawowanie opieki nad trójką dzieci, czasem jakieś prywatne lekcje pochłaniały cały czas p. Marii.

Pan Jan pracował w szkole podstawowej, ucząc „co leciało”, bo w tamtym okrutnym czasie nie dało się wybierać i nie było mowy o stosowaniu specjalizacji.

Kiedy uczęszczałam do III klasy, p. Kalisz uczył nas śpiewu. Naukę mieliśmy w „Strzelnicy”, bo budynek szkolny był już od dwóch lat zajęty przez niemieckich żołnierzy przywożonych z frontu na odpoczynek od działań wojennych i ćwiczenia, które głównie odbywały się na dworskich polach p. dziedzica Marsa.

Pan Jan wprowadzał ambitne i raczej trudne dla małych dzieci utwory pochodzące najczęściej ze śpiewnika S. Moniuszki. Napisany na tablicy tekst szybko zapadał w pamięć. Gorzej było z melodią. Dziewczeta szybciej przyswajały sobie melodię „Prząśniczki”, „Po nocnej rosie” czy kanonu „Panie Janie”. Gorzej było z rodzajem męskim. Baranie głosy chłopców mogły doprowadzić każdego do zupełnego zawrotu głowy, nie wyłączając naszego nauczyciela. Stąd zdarzało się, że zwykle najbardziej ucierpiał smyczek. Widocznie był wybrakowany i w czasie uderzenia w „katedrę” pękał. Chciałabym jednak zaznaczyć, że nasz nauczyciel był człowiekiem bardzo przyjaznym dla otoczenia, życzliwym i zwykle uśmiechniętym. Chwile wzburzenia zdarzają się jednak każdemu. Wówczas nikt z nas niedorostków nie wiedział, że

pan Kalisz narażał życie swoje i rodziny, prowadząc konspiracyjne nauczanie. Grupa nauczycieli zorganizowana przez p. Stanisława Cęglarza - kierownika limanowskiej podstawówki (m.in. pp. Jan Kalisz, Władysław Oleś, Franciszek Bogacz, Józef Bednarz, Maria Najwer, Eugenia Wolf, Helena Bocheńska, Maria Poško i inni) prawie bezpośrednio po rozpoczęciu okupacji podjęła tajne nauczanie młodzieży, by nie traciła cennego czasu i była przygotowana na kontynuowanie dalszej nauki po zakończeniu wojennej zawieruchy. Dopiero w 1941 r. ten problem został uregulowany przez Tajną Organizację Nauczycielską (TON), która przychodziła z pomocą uczącym, dostarczając materiałów i wskazówek.

Odważni nauczyciele prowadzili w ukryciu wykłady, realizując przedwojenne programy nauczania. Pan Kalisz wykladał na tajnych kompletach matematykę i fizykę. Równocześnie pełnił funkcję przewodniczącego Miejskiej Komisji Oświaty i Kultury.

Zajęcia odbywały się w różnych domach i w zmiennym czasie. Często w budynku p. Tomasza Biedy - przedwojennego burmistrza (obecnie „Świerkowa”). Tutaj też organizowano matury. Nad uczącymi i uczniami czuwały wyznaczone osoby, by ostrzec w razie grożącego niebezpieczeństwa. Uczniowie byli na bieżąco odpytywani i oceniani z opanowanej wiedzy. Całość programu kończyła matura.

Od pierwszych maturzystów p. Jan otrzymał papierośnicę wykonaną z łusek pocisków. Estetycznie i precyzyjnie zrobiona była do końca jego dni najcenniejszą pamiątką. Dawano mu w zamian srebrną,

pięknie grawerowaną, lecz tej nie oddał, bo przypominała mu doniosły, choć okrutny okres jego biografii, który udało się szczęśliwie przeżyć.

Dzisiaj papierośnica, świadek tamtych dni, jest własnością syna Ryszarda.

Nauczanie w tajnych kompletach przynosiło minimalne dochody. Czasem uczniowie dawali coś w naturze, czasem niewielkie pieniądze. Niektórzy niczego nie mieli, a chcieli się uczyć. Nikomu nie odmawiano wiedzy, a samo nauczanie traktowano jako posłannictwo, służbę Ojczyźnie.

Wojenna gehenna dobiegła końca. Wróg dokonawszy niewyobrażalnych spustoszeń w naszym kraju, musiał się wycofać. Kapitacja okupanta była już tylko kwestią najbliższych tygodni. W wolnej Polsce zaczęło rodzić się nowe życie. Naturalnie nie ominęło to również Limanowej. Dzięki zaangażowaniu zespołu nauczycieli, którzy już wcześniej stworzyli plany przyszłego szkolnictwa w powiecie, „ruszyła” nauka w gimnazjum i liceach (pedagogicznym, humanistycznym, matematyczno-przyrodniczym) i szkole zawodowej. Pan dyr. Antoni Bieda skompletował grono nauczycielskie i szkoły średnie, korzystając najpierw z lokum podstawówki, a po szybkim remoncie z budynku mieszkalnego przekazanego przez Rafinerię - w Sowlinach.

Pan Jan Kalisz podjął na krótki okres czasu pracę w Liceum Ogólnokształcącym, potem w Liceum Pedagogicznym. Od 1949 r. nauczał w Publicznej Szkole Zawodowej zorganizowanej przez serdecznego przyjaciela i kolegę p. Władysława Olesia. Pan Jan był wybitnym matematykiem. Potrafił pamięciowo rozwiązywać bardzo zawiłe zadania.

Wytchnieniem od ciężkiej nauczyciel-



Jan Kalisz (pośrodku) z przyjaciółmi: Stanisławem Krasuniewiczem (z lewej) i Józefem Bednarzem.

skiej pracy były spotkania z przyjaciółmi m.in. z p. J. Bednarzem (matematyk), p. S. Krasuniewiczem (sędzią), pp. F. Bogaczem, S. Ceglarzem, W. Olesiem i in. Uwielbiał grę w szachy. Jego godnym przeciwnikiem był prof. Bednarz niedościgły mistrz w tej dziedzinie. I znów wszystko zaczęło się pozytywnie układać. Córka Zofia korzystająca również w czasie okupacji z nauki w tajnych kompletach w 1947 r. zdała maturę, podjęła studia i ukończyła je. Podobnie syn Leszek. Potem jednak coś zaczęło się psuć w organizmie tak dotąd energicznego człowieka. Zaatakowała choroba, która utrudniała chodzenie i w 1959 r. zmusiła do przejścia na rentę inwalidzką.

Potencjał umysłowy był jednak bez zmian. Dlatego prawie do końca życia udzielał lekcji matematyki uczniom szkół średnich. Młodzież ogromnie go lubiła, bo okazywał jej dużo serca i po skończonych zajęciach serdecznie z nią rozmawiał.

Przez wiele lat prowadził księgowość w Nauczycielskiej Kasie Zapomogowo - Pożyczkowej przy Oddziale ZNP, którego siedziba przez długi czas była w domu p.p. Kaliszów.

Odnaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Złotą Odznaką ZNP odszedł bezpowrotnie w 1966 r. nie doczekawszy ukończenia studiów przez najmłodszego syna. Spoczął na Starym Cmentarzu pod Siwym Brzegiem.

Po wojnie p. Maria wróciła do limanowskiej podstawówki i uczyła biologii, geografii i historii. Teraz, kiedy dzieci już nieco podrosły, postanowiła chociaż czasem odpocząć od nauczania i domowych

prac i zrobić coś dla własnej przyjemności. Uwielbiała wędrowki, szczególnie po Beskidach. Podziwiała ich przyrodę i urok. „Zdeptała” wszystkie beskidzkie i tatrzańskie polskie ścieżki, a potem penetrowała góry Słowacji.

Prawie w każdą sobotę po południu od wiosny do jesieni zabierała najmłodszego syna i z plecakiem wędrowali w góry. Wcześniej przygotowywała posiłki dla „reszty” rodziny pozostającej w domu.

Z wycieczek wracała w niedzielny wieczór zmęczona i szczęśliwa, by w nowym tygodniu zabrać się z energią do pracy. Pieszko przemierzała dziesiątki kilometrów i nigdy nie narzekała na trudy wyprawy.

Potem uczestniczyła w specjalnym kursie krajoznawczym i zdobyła uprawnienia przewodnika beskidzkiego. Organizowała wycieczki w Beskidy, Pieniny i Tatry dla młodzieży i dorosłych. Uczestnicy wycieczek doceniali jej wiedzę i starania, a także umiejętność skierowania ich uwagi na piękno krajobrazu, faunę, florę i ludzi zamieszkujących mijane regiony, budownictwo, zwyczaje i obyczaje.

To nie były zwyczajne wędrowki, to było przeżywanie tego, co widziały oczy, z tym, co czuło serce.

Za szerzenie turystyki, za przybliżenie młodzieży i dorosłym wiedzy o naszych górach otrzymała Złotą Odznakę PTTK i Złotą Górską Odznakę Turystyczną.

Przedwczesne odejście na Drugą Stronę Smugi Cienia męża mocno zachwiało życiem rodziny p. p. Kaliszów. Potem już nigdy naprawdę nie było tak samo. Trze-



Po II wojnie światowej Jan Kalisz (pierwszy z lewej w drugim rzędzie) pracował w pierwszej, nowo utworzonej szkole średniej w Limanowej.

ba było jednak żyć dla dorosłych już dzieci, które zakładały własne rodziny.

Pani Maria pracowała w szkole na całym etacie do 1960 r. Potem w tej samej placówce na 1/2 etatu do 1970 r. W latach 1971 - 1979 pełniła funkcję bibliotekarki w Technikum Mechanicznym (1/2 etatu). Była ciągle niezamężona i cały czas uprawiała turystykę.

Ostatnie miesiące życia spędziła u syna Ryszarda w Myślenicach. Odeszła do innego wymiaru 8 stycznia 1982 r. Wróciła do Limanowej, by się połączyć ze swoim zycznym mężem pod Siwym Brzegiem.

Pozostał dom, w którym żadne z dzieci nie chciało zamieszkać, bo wydawał się bez rodziców, a szczególnie matki, pusty i zimny. Gdy odeszła matka, umarło także „serce domu”. Tak przeważnie bywa.

Dom przeszedł w obce ręce. Nowy właściciel dokonuje przeróbek, przeprowadza remont. Ciągłe jeszcze ci, którzy pamiętają p. p. Kaliszów, mówią na ten dom „Kaliszówka”.

„Przeminęli” dobrzy, szlachetni i zaciężni ludzie, ale na szczęście pozostała po nich pamięć, DOBRA PAMIĘĆ.

Zofia Wiśniewska

P.S. Z serca dziękuję Panu Ryszardowi Kaliszowi za udzielenie informacji dotyczących Rodziców.

Fotografie: arch. rodziny Kaliszów, arch. albumów „Okruchy pamięci”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Założ rachunek ROR

w Banku Spółdzielczym w Limanowej

i wygraj cenne nagrody!

356

telewizorów
SHARP

**TWOJE
KONTO
Z PREZENTAMI!**

560

notebooków
ASUS



24

samochody
CHEVROLET
SPARK



Sprzedaż promocyjna trwa
od 1 października 2011 roku do 31 stycznia 2012 roku.

Wyślij SMS-a pod numer **7055** z prawidłowym kodem uprawniającym do udziału w Loterii, w okresie trwania sprzedaży promocyjnej lub wpisz kod na stronie www.twojekontozprezentami.pl.
Koszt jednej wiadomości SMS wysłanej pod powyższy numer wynosi 0,50 zł netto (0,62 zł brutto); kody uprawniające do udziału w loterii są dostępne w placówkach biorących udział w Loterii.

TWOJE KONTO Z PREZENTAMI!

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl





PRZEDSIĘBIĘSTWO
FAIR PLAY

ISO 9001

Sp. z o.o.

Impuls - by budować !!!

RuppCeramika

NOWOCZESNE SYSTEMY DACHOWE



**DACHÓWKA CERAMICZNA SIRIUS
CZERWIEN' MIEDZIANA I CEGLANA**

cena **29,99** zł brutto / m²

doskonałe parametry techniczne

* do wyczerpania zapasów



PRZEDSIĘBIĘSTWO
FAIR PLAY
ISO 9001
Sp. z o.o.

dystrybutor Impuls Sp. z o. o.
Limanowa ul. Piłsudskiego 14 c